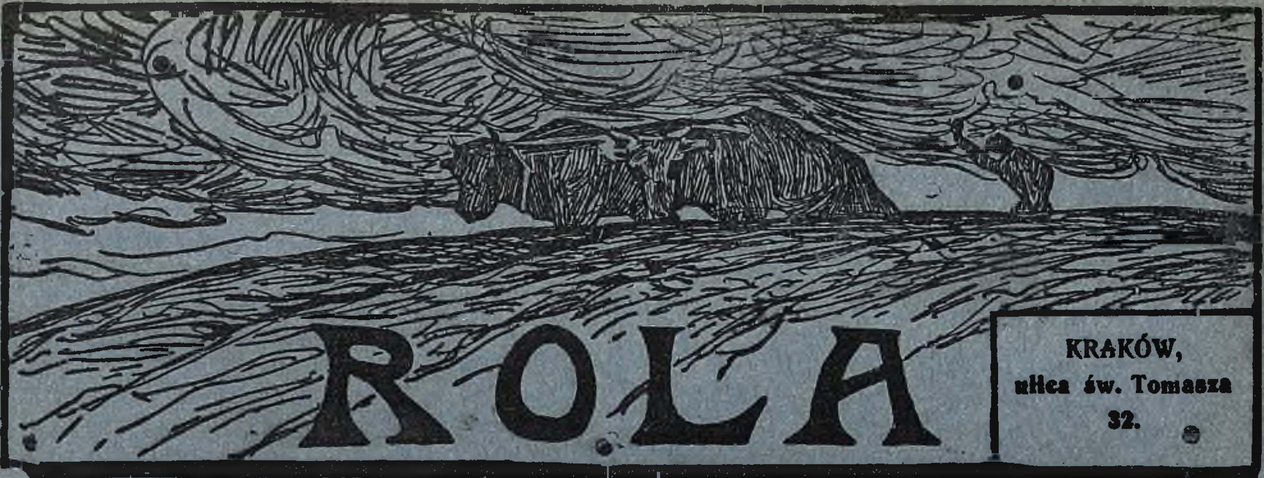
Numer 26. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 26 Czerwca 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Wytłómaczyła mu.

— Moja kobieto, — odezwał się urzędnik pocztowy do włościanki — tego listu nie mogę przyjąć od was z jedną marką, gdyż jest za ciężki. Musicie na nim przykleić drugą.

— A toć proszę pana jak drugą przykleję, to będzie jeszcze cięższy.



To co innego.

— Czy sądzisz, że Michałowi można zaufać?

— Czy można zaufać! Ależ ja bez wahania powierzyłbym mu swoje życie.

— No tak, ale coś wartościowego, naprzykład pieniądze?



Postępowy.

— Bój się Boga, Maciusiu, masz dopiero lat trzynaście, a już palisz papierosy. Co będziesz robił, gdy będziesz starszy.

— Będę palił cygara, proszę pana.

Usprawiedliwił się.

Pewien gamoń, przypatrując się wystawie sklepowej, stłukł przez nieostrożność szybę; chcąc tedy uwolnić się od odpowiedzialności, pobiegł cwałem w ulicę, lecz na szczęście został przytrzymany przez dopędzającego go właściciela sklepu.

— Mam cię bratku, toś ty mi stłukł szybę?

— Ja panie.

— A dlaczegoś uciekał?

— Bom się spieszył do domu po pieniędze, aby panu zapłacić za szkodę.



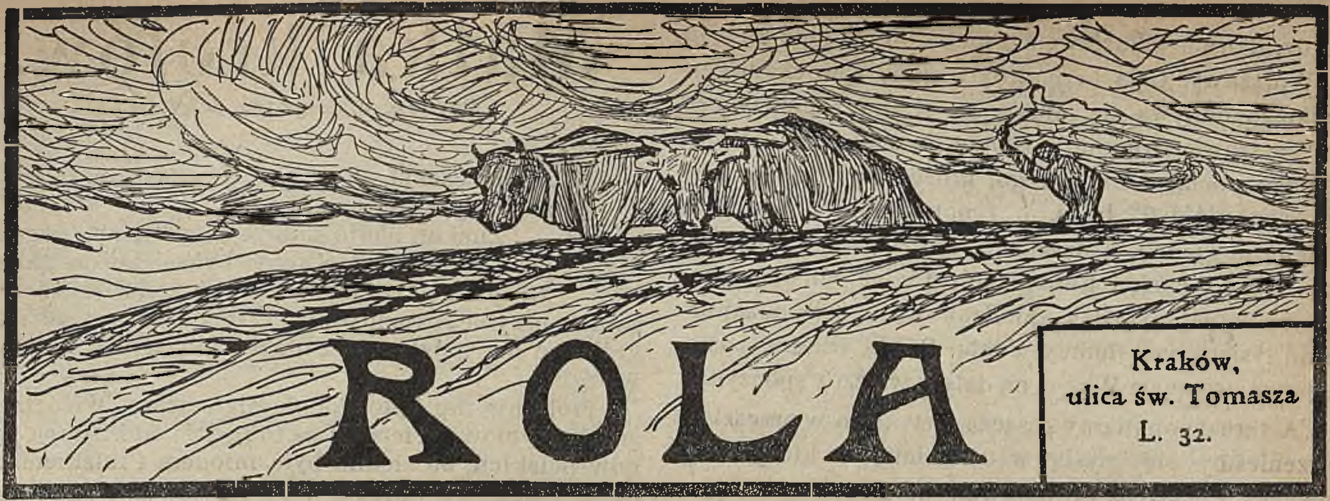
Zawód.

Rotszyld pożyczył pewnemu biedakowi talara. Człowiek ten złożył uroczystą przysięgę, że wróci dług w ciągu trzech dni. Ale Rotszyld nie uwierzył mu i uważał pieniądze za stracone. Zdumienie jego nie miało granic, gdy biedak punktualnie odniósł mu pożyczonego talara.

Po pewnym czasie ten sam „klijent“ znów zwraca się do Rotszylda o pożyczkę.

— Nie dam — odpowiada miljoner. Raz już pan zawiódł najniespodziewaniej moje nadzieje, drugi raz się to panu nie uda!

Numer 26. Rok X. Kraków, dnia 26 Czerwca 1927.

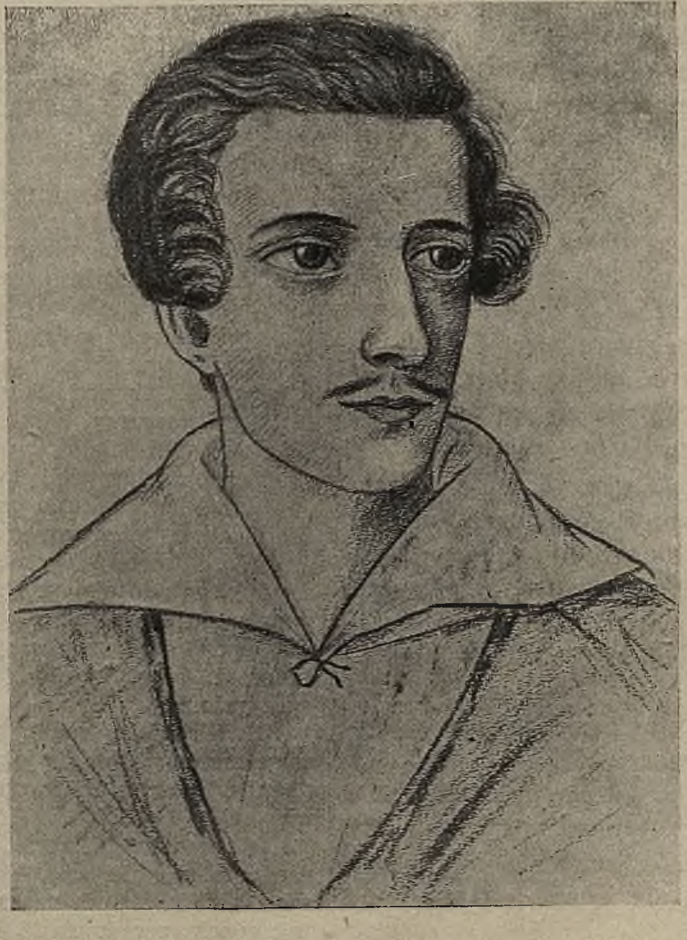


ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Wielki dzień nadchodzi...

Zmieniają się na ziemi ludzie, przechodzą czasy, kraje i państwa przybierają odmienne granice, ale duch w pieśni zaklęty trwa i nie ginie nigdy. Co raz zostało wyśpiewane, pozostaje na wieki, choć z tych, którzy pierwsi pieśń ową słyszeli, nie masz ni śladu. Ileż to ludzi zaścieliło swymi kośćmi cmentarzyska całego świata, ileż istnień ludzkich przeminęło, ileż ważnych wypadków miało miejsce na ziemi, a wszystko to nie zniszczyło tego, co nam wyśpiewali wieszczowie nasi: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński. Pieśni ich, w sercu poczęte, przeszły do serc naszych i krzepiły je w ciężkich dniach życia naszego, póki nie wymodliły nam tego, czegośmy przez lat tyle pożądali. I w chwili, gdyśmy my, często niczem nie zasłużywszy na to, znaleźli się w wolnej Ojczyźnie, aby zażywać swobód, do których wieszczowie nasi bezskutecznie dążyli, to oni, nie wszyscy znaleźli się pośród nas, aby przynajmniej po śmierci być między nami na wolnej a niepodległej ziemi.



JULJUSZ SŁOWACKI.

Oto 68 lat w grobowcu na cmentarzu Montmarte we Francji czekał jeden z największych, Juljusz Słowacki, na chwilę, w której prochy jego będą się mogły znaleźć na ukochanej ziemi, wśród rodaków, którym tyle przecudownych pieśni wyśpiewał. I nareszcie doczekał się tej chwili. Oto 15 czerwca b. r. ze czcią wyjęto jego prochy z grobowca i z radością a w tryumfie wyruszono z nimi przez obce kraje, przez obce morza, aby je wzdłuż całej Ojczyzny przewieźć z największymi honorami i złożyć tam, gdzie królów prochy spoczywają: na Wawelu. I oto w chwili, gdy te słowa piszemy i w chwili, gdy one dojdą do rąk Waszych, te relikwije narodu polskiego będą dążyć wśród tysięcy serc miłością ku nim pałających do serca narodu polskiego, do Krakowa, aby tam na Wawelu spocząć po wieczne czasy, w dniu 28 czerwca 1927 r. A dzień ten stanie się dla narodu polskiego pamiątką nigdy nie przebrzmiałą, jakąś wielką tajemnicą, którą jeszcze najdalsze pokolenia, jakie po nas przyjdą, ze czcią będą wspominały.

O ile jakieś nieprzewidziane przeszkody nie zajdą, to trumna z prochami Juljusza Słowackiego przybędzie we wtorek 21 b. m. do Gdyni, aby przez Gru-

dziądż, Toruń, Włocławek, Płock dotrzeć dnia 26 b. m. do Warszawy. Cała ta podróż trumny z prochami Słowackiego odbywa się Wisłą na statku »Mickiewicz«. W Warszawie trumna zostanie przeniesiona do specjalnego pociągu kolejowego, którym wyruszy w dalszą drogę dnia 27 b. m. o 1 popołudniu z postojami w Skierniewicach, Koluszkach, Piotrkowie, Częstochowie, Ząbkowicach i Katowicach. Przed północą tegoż dnia pociąg przybędzie do Krakowa, gdzie nazajutrz wśród tysięcznych tłumów z całej Polski trumna zostanie przeniesiona na Wawel na dalszy wieczny spoczynek.

A teraz popatrzmy jeszcze raz nieco w przeszłość i przenieśmy się myślą w owe lata, w których żył Słowacki. Przyszedł on na świat w warunkach bardzo szczęśliwych. Był synem ludzi zamożnych, którzy kochając go, bardzo niczego mu nie skąpili. Dlatego też mógł się mały Juljusz kształcić, nie troszcząc się o potrzeby życiowe. Niestety, wkrótce jednak odumarł go ojciec, a wówczas chłopczyna pozostał na opiece matki. A że był wątłego zdrowia, to też biedne matczysko więcej zwracało uwagi na pielęgnację syna, aniżeli na jego nauki. Ale Juljusz bez napędzania sam garnął się do książek, jak rzadko inny chłopiec. A co ważniejsza, dziwną zawsze objawiał tęsknotę za tem, co wzniosłe, co szlachetne, co piękne. Wybujała wyobraźnia stawiała mu przed oczyma takie rzeczy, których inni dojrzeć nie mogli, a on tworzył sobie jakiś dookoła siebie świat inny, obcy dla innych, a jemu tylko miły i znany.

Miłował i żył miłością, nie przeczuwając, że ta miłość przyniesie mu wiele przykrości. Jeszcze jako student na uniwersytecie w Wilnie pokochał pannę Ludwikę Śniadecką, ale bez wzajemności. A co jest miłość poety, ten tylko ocenić potrafi, kto sam jest poetą. Gdy każdy inny kocha, to w miłość tę wlewa tylko część swojego jestestwa, natomiast miłość poety jest czemś tak wielkiem, co się słowami wypowiedzieć nie da, bo poeta całego siebie w miłość przelewa. Tak też pokochał i Słowacki. A że nie znalazł wzajemności, więc też smutek jego stał się tak wielkim, że nie było nań już lekarstwa, aby go uleczyć. Bolał ogromnie i ta boleść jego odbijała się we wszystkich utworach, jakie wyszły z pod pióra Słowackiego.

Słowacki marzył i chciał marzyć, a tymczasem życie stawiało swoje wymagania. Po ukończeniu szkół na życzenie matki wstąpił do urzędu i jako prawnik począł pracować w Warszawie na chleb. Przepisywał akty i protokuły, pracował nawet sumiennie, ale praca ta była dla niego tem, czem byłoby ewentualne zaprzężenie orła do pługa.

Wybuch i przebieg powstania w 1830 roku, a jeszcze bardziej powtórne zamążpójście jego matki za człowieka, którego później posądzono o pozostawanie w tajnej służbie u rządu rosyjskiego, tak przygnębiły Juljusza, że pożegnał własną Ojczyznę i udał się na tułaczkę, aby z niej już nigdy żywym do kraju nie powrócić.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV. w.

Jagiełło czekał, dopytując się ciągle, niespokojny, znękany i strwożony.

Znał on nadto dobrze Jagiełłę, aby pogróżki jego lekceważył. Dosyć było, aby do gniewu, który w sercu miał, starego dolał miodu i na zamek przybiegł rozjuszony; życia pewnym od niego król być nie mógł, a o zmowie swych obrońców nic wiedział.

Boleśnie mu było Podola się zrzekać, wiedział, iż srogie wymówki cierpieć za to będzie od biskupa i panów polskich, bo ziemia była miodem i mlekiem płynąca, obfita we wszystko, ale życie ratować musiał.

W tych myślach teraz biedny król pogrążony, po całych dniach prawie na łożu legiwał.

Z dworzan jego przychodził naówczas który, stawał przy nim i opowiadać musiał o wszystkiem, co słyszał, widział, a niekiedy użalaniom króla potakiwać. Nie ruszył się nikt, nie wyszedł, nie wrócił, ażeby król nie badał, nie przywoływał i nie kazał sobie szeroko opowiadać o najmniejszych rzeczach. Wysyłał na zwiady, podsłuchy, ciekaw był, i to go rozrywało. Ze wszytkiego co posłyszał, po swojemu wyciągał prognostyki uspakajające.

Drugiego dnia, jak zapowiedziano, Zaklika z kniaziem Babą miał do Kamieńca wyruszyć. Przyszedł więc do króla z pożegnaniem, po pismo, które już owinięte w jedwab czekało, a obok worek na drogę.

Widok odjeżdżającego przykre zrobił na Jagielle wrażenie, choć śpieszył go wysłać. Mrucząc oddał mu co dla niego przeznaczył, pobłogosławił na drogę i dodał w końcu.

— Powiedz Buczackiemu na Boga żywego, niech zamki zdają, — o gardło moje chodzi.

Tarło więc z pismem jednem jawnem, z drugiem w świecy ukrytem, w towarzystwie kniazia Baby, wyruszył na Podole.

Musiał też być na pożegnaniu u Świdrygiełły, który sobie list z pieczęcią czytać kazał, a Babie surowo zalecił, aby pośpieszał.

Nie miał już dnia tego czasu napaść Jagiełłę brat, zostawiając go w spokoju, choć ciągle na czatach stojąc, spodziewano go się i oczekiwano.

Szczęściem dnia tego właśnie powrócił był Rusin, wysłany na zwiady, co się w Polsce działo, który do Lublina dotarłszy, słyszał już tam także, iż szlachta się do Warki ściągała, wojsko zwoływano i posłów z groźbą do Świdrygiełły wyprawić miano.

Książę od biskupa powróciwszy, gdy za stół siadł, zastał do koła rozhowor gorący bardzo.

Jedni Lachów wyśmiewali i za nic ich nie mieli, drudzy, oględniejsi przypominali, że kniaź wojska w pogotowiu nie miał, a gdyby rycerstwo polskie przyszło pod Wilno, musiałby je poddać i uciekać, bo ani ludzi, ani zamków nie byli pewni, gdyż wielu Jagielle sprzyjało.

Świdrygiełło sparty na ręku słuchał, pił nie mówiąc nic, brwi mu się jeżyły, czoło fałdowało, ramiona drgały. Zrozumiał, że pośpiechem mógł sobie popsuć wszystko.

Wieczorem późnym, na dobitkę nadjechał wcale niespodziewanie aż z Wiazmy, kniaź Siemion Holszański Sonki rodzony stryj. Świdrygiełło musiał go jak gościa przyjmować, bo Rusinów rad był sobie je-

dnać i widział w nim jednego z przyszłych swych sprzymierzeńców.

Siemion, daleko siedzący od Litwy, nie mieszał się do spraw tutejszych, człowiek też był nie młody, spokojny, ale ludzie wiedzieli, że mu w potrzebie ani na męstwie, ani na rozumie nie zbywało. Nie rwał się on na zdobycze, do cudzego nie kwapił, ale to, co trzymał, silną dłonią umiał dzierżyć.

Świdrygielle zaraz na myśl przyszło, że stryj królowej w sprawie Jagiełły mógł być posłany, ale gdzie z Krakowa do Wiazmy?

Stary Siemion, kłaniając się wielkiemu księciu litewskiemu, na wstępie mu powiedział, iż po to przybył do niego, aby razem z nim w sojuszu i dobrej zgodzie żyć, a naradzić się o obronie wspólnej i bezpieczeństwie.

— Jak byliśmy z Witoldem, — rzekł — tak chcemy z tobą być i iść gdzie potrzeba... a oczów sobie nie wykalać...

Rad więc być musiał przyszłemu sprzymierzeńcowi Świdrygiełło, a że ten gość dawał mu jedzenia i picia sposobność, znowu stoły zaczęto zastawiać i dzbany przynosić.

Kniaź Siemion twardej głowy, do prostego życia nawykły, jadł też rad dobrze i napoju nie odmawiał.

Świdrygiełło, gdy w końcu stołu nieco się od bojarów swoich odsunąwszy, z nim zasiadł, nie mógł wytrzymać i począł zaraz opowiadać a chwalić się, jak to on tu, niedołężnemu starcowi, jeszcze za życia Witolda wszystko z rąk wychwycił, a teraz już tu się czuł tak mocnym, że się nikogo nie lękał.

Siemion słuchał, bacznie mu się przypatrując, nie przerywał, nie sprzeciwiał się, ani potakiwał z tą wyższością, jaką daje rozum spokojny nad roznamiętnieniem dzikiem. Świdrygiełło nawykły do tego, że mu bojarowie gorąco potakiwali, i podnosili każde słowo, w końcu sam ostygać już począł... Zląkł się tego niemego słuchacza, z taką powagą i krwią zimną wyciągającego na słowa, na którym on, coraz bujniej wojując niemi, żadnego nie zdawał się czynić wrażenia.

— Słyszałem — rzekł w końcu Siemion — że wy tu króla Jagiełłę na zamku trzymacie?

Świdrygiełło głową potwierdził.

— Cóż z nim myślicie czynić?

Kniaź tem wprost rzuconem pytaniem, gdy zdawało mu się, że swą nienawiść i pragnienie zemsty całe już był wypowiedział, zdumiony zamilkł.

— Cóż z nim zrobię? — zawołał. — A cóż? On mnie trzymał w niewoli! mnie... Dziewięć lat się męczyłem... jałmużną zbywali mnie... Witold zabierał wszystko, my mu służyć musieliśmy i kłaniać się, a on na mojej ojcowiznie gospodarował... Cóż? ja tu panem i nauczę go rozumu... Niech siedzi!!

Siemion najmniejszego nie okazał zdziwienia.

— Sposóbcież się do wojny, nie mieszkając — odparł sucho — No! wojna to będzie niemała i nie lekka, a przeciągnie się pewnie długo. Słyszę, że się już do niej Lachy gotują. Papież listy przeciw wam rozesłał, wszyscy już wiedzą, że Jagiełło w niewoli. Węgierskiego króla, który grosza jest żądny, Polacy kupią...

Świdrygiełło, któremu to na myśl przywiodło świeżo odebrany list papieski, z wielomównego stał się nagle milczącym.

— Kniaziu Siemionie — rzekł po namyśle, wyciągając rękę do nigo. — Wy mnie bratem, Rusinem jesteście jak i ja... no radźcie, co ja mam poczynać? jak lepiej?

I zawahawszy się nieco, dodał.

— Jagielle dojadłem dobrze... naprawić tego trudno, ale go trzeba było nastraszyć... On taki! z nim grozą najłatwiej!... Cóż teraz ich puścić i pokłonić się! — srom i wstyd... Jeszcze muszę dusić, póki Podola nie oddadzą.

Kniaź Siemion wiedział dobrze, że przekonywać słowy Świdrygiełłę próżno było; pokiwał głową i mówił dalej, jakgdyby wchodził w myśl jego.

— Co wam radzić? Zaszliście już daleko, w tył się cofać nie można... Nie dajcie się im gołą ręką wziąć. Do wojny się sposóbcie, do wojny. Ani się opatrzycie, jak ona przyjdzie. A pewni jesteście ludzi waszych i załóg po gródkach?

— Wojny! ja się nie boję jej! — zakrzyczał Świdrygiełło, rękami rzucając. — Co mnie wojna!! a no, czasu potrzeba, żeby pułki pościągać! Dziś ani jutro tego nie dokazać. Boją się mnie, bo morduję bez miłosierdzia, grozę muszą znać.

Potargał brodę Świdrygiełło...

Holszański wciąż słuchał bacznie, a dawał mu się wyspowiadać.

—Polacy się także do wojny tak rychło nie przysposobią — mówił dalej kniaź — ja ich znam! Oni dużo gadać muszą i radzić, kłócić się i sporzyć, nim co postanowią. Wojska u nich teraz dużo nima... a ja im na kark krzyżaków puszczę.

Rozśmiał się, zmrużając oko.

— To prawda — spokojnie rzekł Holszański — a no im o cześć chodzi, o starego króla, trzymanego w niewoli. Cały świat wie, sromać się muszą... Co ludzie powiedzą, gdyby hosudara swego nie bronili? Tyle lat im panuje!

Świdrygiełło przysłuchiwał się coraz bardziej, miał już ochotę posądzać Siemiona, że mógł być posłany w sprawie Jagiełły, gdy ten dodał.

— Podole wy wszakże trzymacie? Tam trzeba zamki mocno wiernymi obsadzić. Chcecie ludzi pewnych, dam wam moich Rusinów?

Świdrygiełłę ofiara ta ujęła znowu i rozproszyła posądzenie.

— Ha! Podole! — zawołał namiętnie — te psubraty Lachy mi je wyrwały zdradą... Dowgierda chwycili za gardło... i klucze puścił... Alem Jagiełłę, dybami grożąc nacisnął tak, że listy musiał wysłać, aby nazad zamki powrócili namiestnikom moim. Posłałem Michała Babę. Muszą oddać zamki, inaczej im króla z kaźni nie wypuszczę...

— Król dał listy? — zapytał Holszański.

— Musiał!!! — zakrzyczał Świdrygiełło — musiał... Zląkł się...

Przez chwilę milczeli. Siemion w kubku usta umoczył.

— No, rzekł — co się stało, to się stało, ale będzie li żyw i wolny Jagiełło, nie zapomni wam tej niewoli. Uczyniliście go sobie wrogiem na wieki... Jego, jak jego Lachów też! To już wieczny rozbrat z nimi. Jeżeliście z królem tak poczynali, pewnie z panami jego nie lepiej... nie przebaczą oni tego! nie przebaczą!!

Prowadził tak dalej rozmowę Holszański, iż Świdrygiełły nie nawracał, ani go uśmierzał, a pytał tylko, czy się nagotował na to, co go czeka i obawiał się dla niego wojny... Tem go więcej podrażnił i poruszył, niżby sprzeciwiając się i grożąc mógł rozjątrzyć.

Ponieważ Holszański z Rusi jechał, a Świdrygiełło obawiał się Zygmunta Starodubowskiego, brata Witoldowego, aby się ten o spuściznę po nim nie upomniał, o zagarnięte w Trokach skarby, zwrócił nagle rozmowę na niego i pytać począł, czy o nim nie słyszał.

— Zygmunt Kiejstutowicz na swojej dzielnicy siedzi tyle lat spokojnie, — rzekł Holszański — że o nim ludzie zapomnieli. Nic nie słychać, o niego nie macie się co troskać. Choć to Witoldów brat, ale on nigdy równym mu nie był. Z Mazowieckimi się ciągle kumał i od nich nauczył się w dziurze siedzieć spokojnie.

Pogardliwie skrzywił się Świdrygiełło.

— Ja jemu ani Juljannie jednej grzywny dać nie myślę z tego, co w Trokach zabrałem... — zawołał. — Mnie samemu teraz siła potrzebna, bo chcąc ludzi mieć, każdgo potrzeba złotem brać. Nasycić ich trudno — dawaj a dawaj! Pójdzie ten skarb prędko...

Znużony w końcu tem spokojnem biesiadowaniem kniaź kubkiem o stół uderzył.

— E! kumie Siemionie — krzyknął — dosyć bied wywłóczyć, a tem sobie głowy zaprzątać, czego niema, a może nigdy nie przyjdzie... Na pohybel wrogom! Napijmy się!

Holszański nie odmówił, bojarowie zwykle służący Świdrygielle do tej zabawy, przysunęli dzbany, zaczęto nalewać. Głosy się zaraz podnosiły, zmieszały, wrzawa zrobiła wesoła...

Przybyły gość wcale nią sobie przykrzyć się nie zdawał, dotrzymywał im, przysłuchując się ciekawie, uśmiechając się półgębkiem. Zdawał się zupełnie podzielać i wesołość i myśli.

Do późnej nocy trwało takie ucztowanie, w końcu którego Holszański z za stołu trzeźwy wstał i Świdrygiełłę z jego dworem zostawiwszy do pijających jeszcze, poszedł do swej gospody.

Nazajutrz z rana, król biskupa Macieja o mszę świętą uprosiwszy, słuchał jej na klęczkach pobożnie.

Był to dzień piątkowy, więc i post z suchotami, który król bardzo zawsze ściśle zachowywał. O chlebie więc i wodzie śniadał po mszy, smutny na duszy, gdy mu oznajmiono, że kniaź Siemion Holszański przyszedł się pokłonić.

W osamotnieniu i niewoli, ten stryj żony, choć nie często widywany i zabyty trochę, był mu jak z nieba zesłanym gościem. Uradował mu się wielce.

Z rękami rozwartemi wyszedł naprzeciw niemu.

— Nu! nu! patrz kniaziu! patrz! — począł żartobliwie — hej! na co mnie przyszło! Od kogo jeszcze, od rodzonego brata, którego kocham, któremu dobrowolnie Litwę puściłem, choć wiem, że mi za to Polacy głowę zmyją! Nu patrz. Ja! król, niewolnikiem u niego!!

Holszański oglądał się, mówić nie śmiejąc, bo dwór królewski otaczał ich i słuchał. Poruszył tylko ramionami dwuznacznie. Jagielle na sercu ciężko było.

— Patrz! Patrz! — powtarzał. — Nie jak króla, nie jak brata, jak poganina mnie męczy i uciska. Stary jestem, nie zniosę nędzy tej i sromu...

I przerwawszy narzekanie, zawołał.

— Widzieliście go? mówiliście z nim?

— Jeszcze wczoraj — rzekł Holszański cicho, oczyma biegając dokoła. — Zawzięty jest i zapamiętały, a no, znacie go, sierdzi się niedługo, wytrwać nie umie, opadną go gniewy.

— Dałby Bóg — westchnął król.

Wtem podkanclerzy Drzewicki przystąpił i zwrócił się do księcia.

— Wasza miłość powinniście przemówić do kniazia Świdrygiełły — odezwał się. Niewidziana to rzecz, aby kto pana swego więził tak i nękał. Jeżeli to zemsta niewczesna i niechrześcijańska, przecież mu król za to, co cierpiał, wynagrodził, dając Litwę!

Jagiełło i inni, obstąpiwszy Holszańskiego, poczęli z żalem i skargami zwracać się ku niemu. Kniaź słuchał i milczał. Z postawy tylko jego i słów niewiele domyślać się było można, że na przyszłość lepiej tuszył i zmiany się spodziewał.

— Ja tu jeszcze zostanę czas jakiś — szepnął w końcu, no i za pośrednika służyć jestem gotów. Nie pojadę stąd aż doczekam się, że się to na lepsze obróci.

Uradowany król, powstawszy, ściskać zaczął księcia Siemiona, który nie chcąc się podać w podejrzenie, wprędce go pożegnał i nazad z zamku do dworca Gastoldowego powrócił. Chciał przy Świdrygielle stojąc ciągle, nowym gwałtom zapobiedz.

Przybycie kniazia Siemiona, listów papieskich, o których już wiedział, a nawet Hinczy z Rogowa nieco Jagiełłę w tym ucisku podźwignęło i dodało lepszej otuchy.

Świdrygiełło, który wprzód napadał go niemal codzień łajaniem i groźbami, nękał bez litości, nie pokazał się przez kilka dni na zamku.

Towarzyszący Jagielle Polacy korzystali z tego, myśl swą oswobodzenia króla, choćby morderstwem, potajemnie tak rozbierając i przygotowując się do wykonania, aby w chwili dogodnej mogła przyjść do skutku. Andrzej z Tęczyna i Mężyk opatrywali wszystkie kąty, obchodzili podwórza, obliczali ludzi, rozporządzali wcześnie, gdzie kto stanąć ma i podzielili między siebie robotę.

Wszyscy zaprzysięgli, że gdyby ważył się znowu kniaź napaść na króla, lżyć go i odgrażać się, rzucą się na niego zamordują i natychmiast dadzą hasło wyrzucenia z zamku niewielkiej załogi.

Gdyby Świdrygiełło przyjechał, jeden miał stać pod oknem i czekać znaku chustą, że Świdrygiełło nie żyje, aby z Litwą sobie radzić i zamek osadzać. Hincza, którego przypuszczono do rady i do czynu, całem sercem przystał do nich. (Ciąg dalszy nastąpi).

Kwiat szczęścia...

Jest jeden kwiat — kwiat cudny „szczęściem“ zwany,
co tylko raz w cudowną noc rozkwita...
w młodości snach...
Więc czarów moc jest w kwiecie tym ukryta —
w czerwcową noc...

Gdy cichy gaj rozebrzmi pieśni nutą,
Gdy ogień serc rozpali ogień złoty,
Gdy się rozmodlą uśpione tęsknoty —
bajką, nie bajką — z marzenia wysnutą...
Że jest „kwiat szczęścia“ — przez wszystkich szukany,
co gdzieś w zielonej paproci rozkwita...
Że jest zaklęty świat „miłością“ zwany —
a nad nim z kwiatów korona uwita...
z kwiatów uczucia... poświęceń... i wiary...

W noc „świętojańską“, kto sercem się wsłucha,
kogo pociągną te ciche rozgwary,
kto swej młodości wyanieli ducha,
kto swego szczęścia szuka wpośród kwiatu,
tego otoczą cudnej bajki czary
i zaklętemu przypatrzy się światu...
I ten szczęśliwym na zawsze już będzie,
bo świat „miłości“ wśród kwiatów zdobędzie...

Kachna Ł. Łza.

RUINY STAROŻYTNEGO RZYMU.



Rzym, stolica całego świata chrześcijańskiego, jest miastem, w którem, jak w żadnem innem na świecie, jest niezliczona ilość najwspanialszych zabytków, sławnych dzieł sztuki i pomników dawnej, świetnej przeszłości.

Rzym starożytny był zbudowany na siedmiu wzgórzach. a między dwoma z nich leżał plac, podobny do dzisiejszego rynku, zwany »Forum Romanum«. Plac ten był głównem ogniskiem życia starorzymskiego, tam odbywały się zgromadzenia i sądy, tam załatwiano interesa i sprawy publiczne. Było tam wiele wspaniałych świątyń, poświęconych różnym bóstwom; Rzymianie byli poganami, a z biegiem wieków religja ich psuła się coraz bardziej, bo po podbiciu jakiegokolwiek państwa stawiano coraz nowe świątynie, poświęcone bóstwom tegoż państwa.

A i w miarę, jak bogactwa Rzymian wzrastały, świątynie i pałace stawały się coraz bogatsze i wspanialsze. Olbrzymie cyrki, obliczone na tysiące widzów, łuki tryumfalne. łazienki, wodociągi, to wszystko budowle, które do dziś jeszcze, choć już w ruinach stojące, wzbudzają zachwyt w bardzo licznych pielgrzymach i podróżnikach, zwiedzających to starodawne miasto.

Rycina nasza przedstawia ruiny »Forum Romanum«. Na pierwszym planie widać właśnie szczątki wspaniałej świątyni, w dali kościół, jakich wiele posiada stolica Ojca świętego.

Noc świętojańska w wierzeniach ludu.

Praojcowie nasi, będąc narodem rolniczym, trudnili się uprawą roli oraz hodowlą bydła i pszczelarstwem. Mieli więc przy owych zajęciach czas na tworzenie przepięknych legend z życia świętych lub też podań i baśni o królach i swych bohaterach. Przed przyjęciem chrześcijaństwa podania te były osnute na tle bogów pogańskich. W ówczesnem pojęciu kmiotka, cała ziemia była zamieszkiwana przez różnych bogów i półbożków oraz pokrewnych im duchów, którym nadawano nazwy czyto rusałek lub bożąt czy też boginek. Tych podań utworzonych z wierzeń ludowych była niezliczona ilość i dzisiaj można jeszcze w zapadłych zakątkach naszej Polski, gdzie jeszcze niestety słońce zdrowej oświaty nie doszło, usłyszeć z ust podeszłych gazdów te podania przepiękne i naiwne wierzenia ludu wiejskiego, pracującego na swych skalistych niwach, a przechowanych od setek lat drogą tradycji. Podania i wierzenia ludowe są wspólne wszystkim narodom. Każdy naród je przerabiał i uważał za własne. Słowianie, jako że byli łagodnego usposobienia, tych podań posiadali mnóstwo. Dużo z tych pogańskich czasów podań zaginęło, ale zostało także niemało. My jako odłam plemienia słowiańskiego podań mamy bardzo dużo a są one bardzo piękne i warto się nad niemi zastanowić. Te podania i wierzenia dowodzą o bujnej fantazji potomków Lecha.

Niezbadane początki państwa polskiego, opierają się jedynie na podaniach i legendach. Wierzenia i te baśnie z zamierzchłych wieków lud przechował w pamięci mimo, że Kościół starał się te różne obyczaje i zwyczaje z pamięci ludu wykorzenić, ponieważ były sprzeczne z nauką Chrystusową. Zwyczaje te jednak nie zaginęły a lud po przyjęciu chrześcijaństwa przystosował je do wiary katolickiej. Przepiękny zbiór podań i wierzeń dochował się do czasów dzisiejszych o nocy świętojańskiej przypadającej 24 czerwca, w uroczystość św. Jana Chrzciciela skąd też nazwa nocy pochodzi. Świat cały oddycha wonią prześlicznych kwiatów, ziemia ubrana w szmaragdy i perły nanizane, ręką Wszechmocnego, kołysze łany srebrnych i złotych zbóż. Noce przyjemne i ciepłe mają jakiś dziwny urok. Jedną z najcudowniejszych, to noc świętojańska. O tej to nocy przechowały się pewne obrzędy i wierzenia.

W tą to noc cudowną, oświeconą gwiazdkami, otoczoną zewsząd wonią zaczynających kwitnąć lip, przy wtórze arcymistrzowskim słowików nad strumykami szepczącymi o dawnych czasach, zakwita ów legendarny kwiat paproci. Kwiat ten zwią kwiatem — niewidkiem, gdyż nie wielu ludzi było pod słońcem, którzy ten kwiat widzieli. Otóż ta paproć, według wierzeń ludu, zakwita o północy w uroczystość św. Jana. Kwitnięcie to trwa tylko pewien moment i kwiatek ginie. Starano się więc tej nocy znaleść ten kwiatek, który był kluczem do skarbów, które tej nocy się otwierały w zabójczych jaskiniach i pieczarach. Nikt więc tej nocy nie zasypiał sprawy, każdy chciał zostać bogatym jak Ford w Ameryce. Szukano więc tego kwiatu a ten, kto go znalazł, był bogatszym w mniemaniu ludu, niż wszyscy miljonerzy, całego świata. Posiadacz paproci-kwiatka, który miał ową cudowną moc, że czego jego posiadacz zażądał, natychmiast jego życzenie w mig się spełniało. Posiadacz był szczęśliwy gdyż cieszył się Matuzalowym wiekiem życia oraz zdrowiem. Czuł się duchowo i materjalnie pod każdym względem zadowolony, a to rzecz najważniejsza w życiu każdego śmiertelnika. W domu darzyło mu się wszystko. Nie zaznał strapienia ani smutku. Ziemia dawała mu najbogatsze plony. Drzewa rodziły najpiękniejsze owoce. Dobytek się mnożył i powiększał się z każdym dniem niemal. Jednem słowem szczęście spotykało danego posiadacza. Ten zaklęty kwiat paproci dawał posiadaczowi, o ile ten był kawalerem, siłę zjednywania sobie najpiękniejszych serc niewieścich a jedną z tych przeznaczał mu za towarzyszkę życia. Kwiatem paproci odżegnywano wszelkie czary i uroki. Warto więc było pomozolić się nad takim kwiateczkiem, co to dostarczał bez wielkich wysiłków wszystkiego. Ale nie na tem kończyła się cudowna moc kwiatka-niewidka, gdyż dawał on możność wstępu do ukrytych skarbów w łonie ziemi.

Starzy ludzie opowiadają, że kto znalazł kwiat-niewidek, ten o północy udawał się na Babią lub Łysą Górę i tam prowadzony przez stróżów tych skarbów, którymi byli zazwyczaj pogańscy bożkowie, został wprowadzony do olbrzymiej sali, której ściany były wyłożone głazami kości słoniowej. Oświetlenie tej sali stanowiły owe robaczki, które latając, błyszczą jak szmaragdy a które lud nazywa świętojańskiemi.

Ludowe podanie głosi, że te robaczki w noc świętojańską wylatują z tej złotej sali na ziemię w tym celu, by ludziom dowieść prawdy o ukrytych skarbach. Sprzęty tej sali a raczej pałacu były bogato ozdobione złotem i klejnotami. W środku znajdowały się stosy nieprzejrzane różnych klejnotów i drogich kamieni. Kto tam się dostał był wprost osłupiony. Nie wiedział, czy patrzeć na skarby nęcące ludzkie oko, czy słuchać koncertu słowików i kanarków, czy podziwiać misterne budowle, czy zachwycać się przemiłym śpiewem uroczych syren i zginąć w nurtach fal jeziora, które znajdowało się poza pałacem w ogrodzie, czy też podziwiać owoce wszystkich gatunków drzew, jakie pod słońcem rosną. Czar ogarniał posiadacza i widza rówocześnie. Zamiast brać skarby, on dziwował się i zamyślony nie wiedział co czynić a czas uciekał. Według wierzeń ludu skarby były otwarte od 12 w nocy do 1-ej czyli tylko godzinę. Kto się nie opamiętał, został zamknięty razem ze skarbami w ziemi i musiał czekać drugiego roku, aby mógł się na ziemię dostać. Kto zaś był sprytny, ten nabrał złota i srebra i żył jak pączek w smalcu. Czasy się zmieniły.

Podania zostały i stanowią łącznik między przeszłością a przyszłością. Kwiat paproci i tego roku kwitnąć będzie, ale nie każdy go znajdzie, gdyż na pociechę Szanownym Czytelnikom „Roli" powiem, że dotychczas nikt takiego kwiatka nie znalazł i w ten sposób się nie wzbogacił. Jedynie pracą można dojść do bogactw i dbrobytu.

W Polsce do dziś dnia istnieje zwyczaj w województwie łódzkiem, że w uroczystość św. Jana, zanim słoneczko wzejdzie, udają się kąpać, a to w tym celu, by zabezpieczyć się przed chorobami skórnemi i dożyć późnych lat. Jest jeszcze inny zwyczaj, ale ten praktykują dziewczęta i chłopcy a mianowicie, rzucają jabłka na wodę i wróżą sobie o miłości. O ile jabłko utonie, t. zn., że dziewczyna czy też chłopak zostanie zawiedziony w miłości. O ile zaś pływa po wodzie, to będzie szczęśliwy i będzie miał powodzenie.

A więc nie szukać paproci ale wróżyć sobie należy. Co wypadnie, to wypadnie. Młode Czytelniczki i Czytelnicy „Roli" jeżeli chcą zbadać, jaki jest ich kurs miłości, niech to uczynią. Radzę to jednak uczynić przedewszystkiem Maciusiowi a napewno się nie zawiedzie, bo mu jabłko wypłynie aże na brzeg.

Na tem kończę o świętojańskiej nocy moje pisanie, przepraszając Czytelników, za dłuższą pisaninę.

Władysław Bienias.



— Obiecałeś nam koci synu z Psiej Wólki gadać o swojej wojacce na wojnie i czasu pokoju a ledwoś coj nieco bąknął, juześ zesię utknął i nic nie padas!

Takie pisanie przysłał mi wkiedysik jeden plenumerator i kazał się mi domyślić, co ja mu mam za swoje milcenie zrobić. Co prawda, to on ma recht, ale i ja mam recht, a jak powiedział jeden gryzipiórko, to największy jest ambaras, kiedy dwoje nie chce zaraz. Cóż z tego, ze on chce, zeby ja wszyćko naraz wypaplał, kiedy mi się ani śni mu to zrobić. Bo uwaźcie sami, jakby ja tak dziś wszyćko zrobił, to cobym jutro robił? A przecie sam Poniezus nie wymaga, zeby wszyćko zrobić odrazu, bo nigdzie nie powiedział: Wypracuj człowieku! — ale najdokumentniej pada: Pracuj! A to się wi, ze rób i dziś i jutro, i we środę i w piątek i w poniedziałek, ale znowu nie tak bardzo, aby ci na drugi raz nie brakło.

To jedno. A po drugie, gdybym tak umiał pisać, jak nie umię, tobym był napisał owemu niecierpliwskiemu i zapytał się go, cy jak on ma chlib z masłem, to cy najpierw masło samo zlizuje, a potem jałowy chlebuś do wańciucha wsuwa, cy tez przeciwnie i tego troskę i tamtego troskę muśnie, ale w ostateczności masło jęzorem na brzeg zgarnia, aby se na ostatku lepij uzyć i miłe wspomnienia na reśte dnia pozostawić? Pewnikiem, jakby był rozsądny, toby uwazował przedewszyćkiem na ostatek. Tak tez i ja robię.

A po trzecie... Bo jest jesce i trzecie, a moze i czwarte się znajdzie, bo jak Pon Bóg dopuści, to i z kija wypuści... A więc po trzecie, to przecież kuzdemu wiadomo, ze co zawiele, to nie zdrowo, choćby to i najlepse było. Niechby tak kto takiemu, co baby lubi, dał ich naraz ze śtyrnaście, to ciekawym, cyby mu to wielką przyjemność sprawiło. Nie mówię, jedna, dwie, a chociezby trzy naraz, toby ta jeszce jako tako było, ale więcej, to nijakby się nie dało. Tak samo i z temby było, któremu świńskie ścierwo smakuje. Jakby mu tak kto odrazu postawił w rynecce i śtyry funty kiełbasy i ze dwa kilo wędzonki i ozur i podlewicę, studzieliny i podgarle i głowiznę i lakierowanych kiszecek paręnaście, toby go na sam widok tych smakołyków zemgliło i ni miałby z nich nijakiego pozytku.

Taksamo jak z owemi babami, jak z temi świńskiemi pięknościami, musi być i z mojem gadaniem. Dobrego po ociupince, a cięgiem, zeby się nie uprzyksyło, a zawse smakowało.

La tego tez ja o swojej wojacce cojnieco pedziołem, a reśtę chowam se na późni, jak po zniwach na „Rolę" więcej ludzi grajcary nadeśle i jesce więcej będzie cytających słuchacy.

Bo wam się widzi, ze wojsko to takie byle co. A temcasem juz zołnierz, to nie chetka petelka, ale zołnierz, którego nietylko Dziadek w sercu nosi, ale kuzda Kaśka i Maryśka ma ich po kilku we swoich wnętrznościach. A jeżeli juz taki prosty zołmirz warta więcej jak śtyrdziestu cywilów, to cóz dopiro starsy zołmirz, który nietylko na obu ramieniach, ale na cepce ma cyrwoną wstążeckę. A cy ma taką wstążeckę pon organista, albo choćby nas prefesur, alibo nawet sami jegomość? Prawda, że nie? I cóz oni, choćby i wszyscy razem naprzeciw starsego zołmirza? Padacie, że plebańska gospodyni ma cały fartuch cyrwony. To prawda, ale przecie nie jeden z nas ma zielono w głowie, a przecie nie mozna powiedzieć, zeby zył trawą.

A jezeli juz starsy zołmirz jest taką wazną figurą na świecie, to cóz dopiro powiedzieć o kapralu z dwoma paskami tu, z dwoma paskami tam i jesce z dwoma paskami gdzieindziej? A plutonowy? Ho, ho, ho! Jak się człek na jego ramiona popatrzy, to mu się widzi, ze po tych drabinkach, jakby ino chciał, mógłby za Ojcynas do samego nieba się dostać.

Ale i starsy zołmirz i kapral i plutonowy to jesce mniejsiejsy wobec sierzanta, anizeli mucha od wielbłąda. Sierzant i jednego, i drugiego i trzeciego moze skunirować, ze na to ani egzaminowana krajsbabka nie poradzi. Taki sierzant to nawet jedynakowi moze tak garścią w gębę plunąć, ze mu tego ani sam Witos nie odbierze!

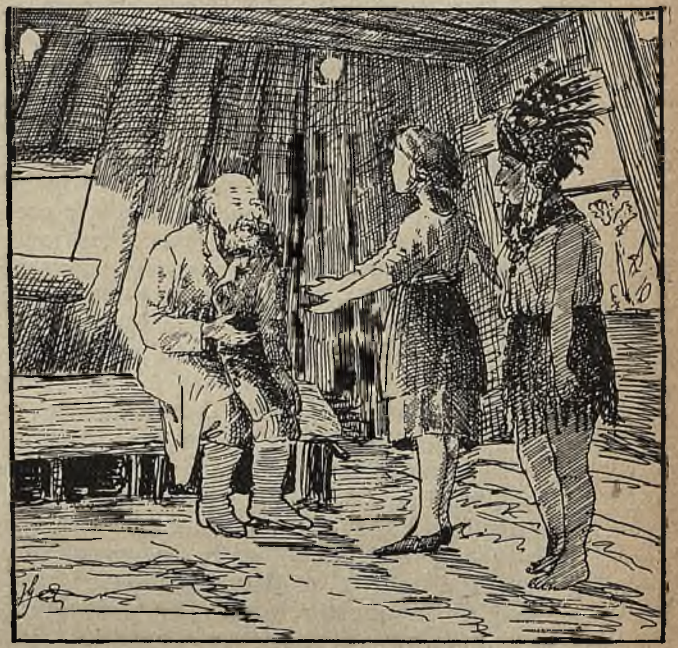
A przecie na sierzancie jesce nie koniec. Ledwie przelizies sierzanta, to wdepnies na podporucnika, potem na porucnika, na nadporucnika, obokporucnika, kołoporucnika itd., ze jaz ci się we łbie zakręci, tyle w kazdy kompaniji dygnitarzy, a kuzden cie moze kląć, ile ino w ciebie wlizie. A jakby ci jesce i to nie wystarcyło, to znajdą się jesce i kapitany, i majory, i pułkowniki, i gienerały, i cerwone krzyze, i intendentury i Bóg wie co jesce, a wszyćko na to od Pana Boga stworzone, aby miał kto na ciebie z gębą wjechać i na amen cię spucować.

I zdawałoby się niejednemu, ze o tem wszyćkiem mozna na jeden raz powiedzieć. Ba, o tem wszyćkiem duzo gadania, ale trzeba zacekać, a wszyćko się zrobi powoli.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy)

Obie dziewczyny usiadły obok siebie na posłaniu z futer i długo jeszcze rozmawiały poufale. Stokrotka polna opowiedziała swej przyjaciółce, że jest sierotą. Matka jej umarła przed kilku laty, a ojciec zginął w walce z nieprzyjacielskiem plemieniem. Od tej pory opiekował się nią pewien człowiek biały, który od wielu bardzo lat przebywa wśród Pawnisów i którego



Zastały tam sędziwego staruszka...

z powodu nadzwyczajnej mądrości i znajomości sztuki lekarskiej zwą „wielkim prorokiem". Zasługuje on najzupełniej na tę nazwę. Otóż ten starzec jest przybranym ojcem Stkrotki polnej, a ona przywiązana jest do niego, jak do rodzonego ojca.

Dowiedziała się więc Ella, z jakiego powodu młody Indjanin okazał się dla niej tak przychylnym, lecz zarazem utraciła nadzieję, aby jej wrócił swobodę.

Młoda Indjanka, wspominając o swojem weselu z Jeleniem, które już niezadługo odbyć się miało, opowiedziała Elli, że Indjanie mają zwyczaj podczas takich uroczystości, dla uświetnienia ich niejako, wykonywać wyroki śmierci na jeńcach wojennych. Dziewczyna wyznała nowej przyjaciółce w tajemnicy, że tego widoku nie lubi i nie chciałaby, ażeby w dniu jej wesela działy się podobne rzeczy; a tymczasem nie obejdzie się bez tego z pewnością i to jej przykrość sprawia.

— Skądże Stokrotka wie o tem? — spytała Ella niespokojnie.

— Stokrotka polna słyszała rozmowę starszych.

Ella zadrżała; nie wątpiła, że to Orzeł czubaty miał ponieść śmierć straszną i służyć za widowisko w dzień wesela Jelenia ze Stokrotką.

— Niechże teraz Sarenka modrooka pójdzie zapoznać się z przybranym ojcem Stotkrotki, wielkim mędrcem białym.

Ella poszła za Indjanką, która ją zaprowadziła do pobliskiej chatki; zastały tam sędziwego bardzo

staruszka. Właściwe jego imię było Ludowiko; dawniej trudnił się handlem i odwiedzał często siedliska Pawnisów, przynosząc im broń, paciorki kolorowe, małe zwierciadełka i inne podobne drobiazgi, oni mu zaś w zamian za to dawali skóry i futra. Tym sposobem z biegiem czasu zaprzyjaźnił się z nimi i na starość stale się u nich osiedlił. Od lat piętnastu już przebywał pośród dzikich ludzi i prawie zapomniał o tem, że sam był człowiekiem innego pochodzenia, tak całkowicie przywykł do obyczajów Indjan czerwonoskórych.

Ludowiko powitał Ellę uprzejmie, lecz parę słów zaledwie przemówiwszy do obu dziewcząt, zabrał się na nowo do przerwanej roboty, — a musiała być ważna i pilna, gdyż staruszek zdawał się skupiać na niej całą uwagę.

Ella uważnie przypatrywała się wszystkiemu, co się naokół niej działo; wkrótce też dowiedziała się wielu ciekawych szczegółów o sposobie życia i obyczajach Indjan. Wszelkie zapasy żywności, tak zdobycz z polowania jak i płody ziemi, są u nich własnością ogólną wszystkich rodzin. Każdy ma prawo czerpać z tego w miarę potrzeby. Zapasy te przechowywane są po chatach dość starannie; kukurydza w naczyniach z kory drzewnej sporządzonych, orzechy w workach skórzanych, olej i miód także w podobnych workach, starannie zawiązanych; ziemniaków niewiele uprawiają Indjanie i zakopują je w ziemi, a tytuń rozwieszają na sznurach. W czasach głodu, jak opowiadano Elli, wojownicy ustępują swoją część kobietom i dzieciom, a sami mężnie znoszą niedostatek. Podobne klęski wydarzają się tylko w zimie; głód bywa niekiedy tak ciężki, że cała ludność musi poprzestawać na nędznych korzonkach i obgryzać młodą korę z drzew. Pochodzi to jedynie stąd, że Indjanie nie umieją mięsa przechowywać jak należy; w porze właściwej mogliby z łatwością upolować taką ilość zwierzyny, że gdyby ją porządnie osolili i uwędzili, przez cały rok nigdyby z pewnością głodu nie zaznali.

Ella musiała przyznać, że Indjanie w stosunkach wzajemnych pomiędzy sobą postępowali bardzo uczciwie i sumiennie, zwłaszcza bez najmniejszej obłudy. Nigdy nie zdarzyło się jej słyszeć, aby jeden drugiego obmawiał poza oczami. Jeżeli któryś miał coś do zarzucenia innemu, wypowiadał to z całą otwartością. Przybrany ojciec Stokrotki polnej zapewnił Ellę, że człowiek, któryby się dopuścił potwarzy, byłby wystawiony na pogardę powszechną. Kobiety także wystrzegały się tego starannie. Jeżeli się czasem pokłóciły, nikt nie mieszał się do tego i zwykle wkrótce następowała zgoda. Ludzie sędziwi, zarówno mężczyźni jak kobiety, otaczani byli największem uszanowaniem; nigdy się też nie zdarzyło, aby ktoś odważył się uchybić starcowi lub staruszce. — Były to wszystko przymioty godne naśladowania. Ale Ella spostrzegła także i wad niemało pośród swego otoczenia. Pycha, do śmieszności posunięta, okrucieństwo, żądza zemsty, oto są cechy właściwe wszystkim Indjanom, a możnaby dodać do tego i inne strony ujemne.

Ella zapoznała się w przeciągu kilku dni z wielu mieszkańcami tej osady; wszędzie ją przyjmowano uprzejmie i obchodzono się z nią przyjaźnie — widocznie uważano ją za należącą już niejako do plemienia Pawnisów.

Dni jedne po drugich mijały, — zbliżała się pora, oznaczona na wesele Jelenia wrzącego ze Stokrotką polną. Uroczystość ta, jak wiemy, miała być uświetniona śmiercią wodza Osagów, szlachetnego Orła czubatego.

23. Przygody Tobjasza.

Dziesięć dni upłynęło od powrotu Pawnisów. Przez cały ten czas stary Tobiasz, towarzysz niedoli Elli, ani na chwilę nie wyszedł z nędznego szałasu, który mu za więzienie służył; dzień i noc jak najściślej był strzeżony. Mieszkanie jego nie było wygodne ani przyjemne.

Dnia pewnego biedny Tomasz siedział na skórze, z głową w dłoniach ukrytą, w smutnych myślach pogrążony. Bo też niemało miał powodów do smutku. Od chwili przybycia do tej osady indyjskiej rozłączono go z Ellą; nie widział jej ani razu i nie wiedział nawet, co się dzieje z ukochaną jego panienką. Srogie i nielitościwe postępowanie Indjan tem więcej go dziwiło, że w ostatnich dniach podróży obchodzili się z nim coraz łagodniej. Teraz było zupełnie co innego; jedzenie dawano mu tak okropne, że je zaledwo mógł przełknąć, wody nawet świeżej nie dostawał. Najmocniej jednak przeraził się, dzisiejszego rana, podsłuchując rozmowę Indjan, którzy stali na straży przy jego więzieniu. Tomasz rozumiał ich język mowa była o tem, że niedługo będą niemiły swój obowiązek pełnili przy jeńcu, skąd można było wnosić najgorsze rzeczy. O ułaskawieniu marzyć nawet nie mógł wśród takich okoliczności, więc Pawnisy mieli zapewne śmierć jego na myśli, — tym sposobem bowiem zwykle pozbywali się jeńców.

Nieszczęśliwy rozmyślał nad tem, że wkrótce zapewne będzie musiał rozstać się z życiem doczesnem i wzdychał ciężko, bo jeszcze mu się ten świat nie naprzykrzył. Nagle przerwano mu to żałosne rozmyślanie. Czterech Pawnisów weszło tak cicho do szałasu, że Tobiasz spostrzegł ich dopiero w chwili, gdy stanęli przy nim. Nieborak był przekonany, że ostatnia jego godzina wybiła, zerwał się na równe nogi, usiłując jednak ukryć swoje przerażenie. Indyanie spojrzeli na niego ponuro; dwaj z nich schwycili go za ramiona, dwaj inni stanęli tuż za nim.

— Niech blada twarz idzie z nami — mruknął jeden z prowadzących Indjan, i pociągnęli go za sobą.

— Czego chcecie odemnie? — zapytał Tobiasz, nadaremnie usiłując ukryć drżenie głosu.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi; Indjanie wlekli go tak prędko, że ledwie mógł nadążyć. Przechodzili pomiędzy chatami, wreszcie zatrzymali się na małym wzgórku, ocienionym kilku rozłożystemi drzewami. Czekała tam na nich dość liczna gromadka Pawnisów, między którymi Tobiasz poznał Jelenia wrzącego, obok tego ostatniego stał stary wódz, jego ojciec, lecz tego Tobiasz nie znał. Pochmurne oczy wszystkich zwróciły się na jeńca, który zaledwo na nogach mógł się utrzymać ze strachu. Na wzgórku wbity był w ziemię mocny pal, do którego przywiązano biednego Tobiasza za ręce i za nogi. Ojciec Jelenia wystąpił naprzód i zwrócony do zgromadzenia Pawnisów, przemówił mniej więcej w te słowa:

— Bracia moi wiedzą dobrze, jak wiele złego blade twarze wyrządzają czerwonym dzieciom Wielkiego ducha. Gdy niegdyś przed laty po raz pierwszy ludzie ci przybyli do tej krainy, ojcowie nasi, prawi jej właściciele, przyjęli ich gościnnie, gdyż gościnność jest najpierwszą cnotą Indjan. Dano posiłek zgłodniałym, znużonym schronienie, chorych opatrzono lekami. Jakaż była wdzięczność za te wszystkie dobrodziejstwa? Jadowita żmija póty jest nieszkodliwa, póki leży zdrętwiała; głupiec rozgrzewa ją u łona, — gdy się rozbudzi i odżyje, zapuści jadowite swe żądło w jego ciało i śmierć mu zada. Tak uczynili i bladzi ludzie. Przypatrzywszy się myśliwskim gruntom In-

djan, zapragnęli je objąć w posiadanie i czerwonych właścicieli zaczęli z nich wypierać. A jak się obchodzili z nimi! Wyniszczali ich i tępili tak zawzięcie, jak szkodliwe wilki i pantery. Od kul ich zginęło Indjan mnóstwo; ileż to żon opłakuje mężów, ile matek synów! Te okrucieństwa pobudziły zemstę czerwonoskórych i wypowiedzieli wojnę wiekuistą bladym twarzom. Gdzie tylko napotkają nieprzyjaciół, strzały ich świszczą i tomahawki latają. Lecz jeśli blady człowiek żywcem dostanie się w ich ręce, musi ginąć uwiązany do pala. Indjanie kobietami nie są, za złe złem odpłacają, tak każe Wielki duch. Oto i ten człowiek blady dostał się w nasze ręce. Zasłużył on na śmierć czterokrotnie, bo był razem z tymi, którzy czterech wojowników naszych wysłali do wiekuistych myśliwskich gruntów. Trzy matki płaczą za synami, jedna wdowa opłakuje męża, czworo dzieci ojca. Któż pocieszy wdowę i sieroty? kto chatę ich zaopatrzy w zwierzynę, kto obroni od nieprzyjaciół? Blady człowiek pokrzywdził ich strasznie, wdowa powinnaby go przeklinać. A jednak nie przeklina, litość wzruszyła jej serce i gotowa przebaczyć blademu człowiekowi, jeśli zechce chatę jej zaopatrywać w zwierzynę, a sierotom ojca zastąpić. Czy blada twarz słyszy i rozumie te słowa?

Wódz zwrócił się nagle z tem zapytaniem do Tobiasza, który przykrych bardzo uczuć doznawał, słuchając długiej przemowy wodza i dopiero przy końcu uspokoił się trochę i odetchnął.

— Słyszałem i rozumiem wszystko — zawołał żywo.

— I cóż blada twarz ma do powiedzenia biednej wdowie? — zapytał znów wódz.

— Prosiłbym o kilka dni do namysłu.

— O nie, blada twarz musi natychmiast odpowiedzieć stanowczo. W przeciwnym razie śmierć go czeka

— A gdybym się zgodził — spytał Tobiasz.

— Wówczas blady człowiek natychmiast będzie wolny, i Pawnisy powitają go jak brata i przyjaciela. Odtąd blady człowiek polować z nimi będzie i towarzyszyć im na wojennych ścieżkach. Oni zaś wezmą go w opiekę i nie pozwolą mu nigdy krzywdy wyrządzić. Lecz gdyby ich oszukał i zdradził, pomściliby się w najstraszniejszy sposób.

Biedny Tobiasz nie namyślał się długo. Z jednej strony widział śmierć najokrutniejszą, z drugiej natychmiastową swobodę, czyli mógł się wahać? Oświadczył więc natychmiat wodzowi, że gotów jest spełnić żądany warunek. Ten zadał mu jeszcze parę pytań, a otrzymawszy zadawalającą odpowiedź, kazał Indjanom odwiązać jeńca od pala i puścić wolno. Tymczasem srogie i pochmurne twarze wojowników wypogodziły się szybko, wszyscy starali się okazać nowemu bratu przychylność i najprzyjaźniejsze uczucia. Nic jednak Tobiasza tak nie uradowało, jak wiadomość, że wdowa nie mogła go zaraz poślubić, gdyż musiała odbyć wprzód żałobę po pierwszym mężu, co jeszcze nie potrzebował więc myśleć o żywności całej tej rodziny, — inni wojownicy się tem zajmowali. Dowiedział się także z mniejszą już przyjemnością, że przyszła jego małżonka należała do plemienia Tygrysa zębatego, i on więc stał się członkiem tegoż plemienia i niezwłocznie miał być do tamtej wioski przewieziony. Tobiasz prosił o pozwolenie widzenia się z Ellą, ale mu wręcz odmówiono. Kilku Indjan wpakowało go do łódki i rzeką dopłynęli na miejce. Rozjaśniło się nieco posępne czoło Tygrysa, gdy się dowiedział o postanowieniu jeńca; i on także zadał mu kilka pytań, następnie kazał powtórzyć solenne przyrzeczenie, że o potrzebach wdowy i sierot pamiętać będzie.

— Brat mój jest wolny — rzekł wódz na zakończenie — może przechadzać się po całej wiosce, wychodzić z niej jednak nie ma prawa, póki czynami nie dowiedzie swej przychylności i wierności dla czerwonych braci.

Dano Tobiaszowi na mieszkanie dość porządną chatę, stojącą pośrodku wioski, niezbyt daleko od tej, w której więziono Orła czubatego. Poczciwiec nasz z rozkoszą używał upragnionej swobody. Czuł on to wprawdzie, że jeszcze nie zupełnie przestał być jeńcem; wszędzie, na każdym kroku, widział zwrócone na siebie podejrzliwe spojrzenia Indjan. Nawet kobiety i dzieci zdawały się należeć do tej czujnej straży, rozciągniętej nad nim nieznacznie. Ale roztropny Tobiasz starał się pozyskać większe zaufanie. Ile razy nadarzyła się do tego sposobność, głośno i wymownie wynurzał wdzięczność swoją za ułaskawienie tak wspaniałomyślne. Gdy Pawnisy w obecności jego zaczynali lżyć swoich nieprzyjaciół, on zaraz najdosadniejszych dobierał wyrazów i przechodził innych w zapale. Gdy czasem i o Osagach była mowa, wówczas chytry stary udawał zawziętą ku nim nienawiść. Dla usprawiedliwienia tych uczuć nieprzychylnych, twierdził zawsze, iż złe traktowanie, jakiego doznawał od Pawnisów, przypisuje temu „głupiemu wodzowi Osagów“, jak się wyrażał. On to bowiem swym niedorzecznym pomysłem wyswobodzenia jeńców niechęć i nieufność ku nim wzbudził w sercach szlachetnnych Pawnisów. Tobiasz z zimną krwią powtarzał nieraz, że za tę głupotę Orzeł czubaty zasłużył na śmierć najokrutniejszą i że on sam radby najprędzej być świadkiem wykonania wyroku.

Nie potrzebujemy zapewne upewniać czytelników, że stary nie myślał tego co mówił; naśladował on tylko przebiegłość i chytrość swoich przybranych braci. Zresztą wyjaśnią to najlepiej dalsze wypadki. Tymczasem roztropnem tem postępowaniem Tobiasz pozyskał wkrótce większą ufność. Już po kilku dniach pozwolono mu odbywać dalsze przechadzki poza obrębem wioski. Spostrzegł wprawdzie, że i tam Pawnisy śledzili go z początku, wkrótce jednak zaniechali tego zupełnie, stary bowiem zawsze w porę powracał i zdawał się zupełnie zadowolony pośród „miłych swych braci, którym tyle zawdzięczał“. Stopniowo doszło do tego, że przestano nad nim czuwać i gdyby był chciał, łatwoby mógł nawet i uciec, ale on o tem nie myślał wcale.

Indjanie uważali go za najwierniejszego przyjaciela, a w nienawiść jego dla wodza Osagów tak dalece uwierzyli, że zaczęli się wyręczać „białym bratem“ przy pilnowaniu tego ważnego jeńca. On zaś najchętniej im tę usługę wyświadczał, i stał cierpliwie na straży po kilka godzin, zastępując tego lub owego wojownika, a ta uczynność tak im się podobała, że nie tylko w dzień, lecz nawet i w nocy na „białego brata“ ten niezbyt przyjemny obowiązek składali. Będąc już teraz przypuszczony do zaufania Pawnisów, stary wiedział o tem oddawna, że śmierć Orła czubatego odkładano do dnia zaślubin Jelenia ze Stokrótką. Wyrok miał być wykonany ze zwykłem okrucieństwem podczas tej uroczytości, którą już niezadługo obchodzić zamierzano.

(Dalszy ciąg nastąpi).



FR. LIPIŃSKI.

Wawrzek Dybczak.

(Nowela). Dokończene.

Burza szalała dalej.

Nagle przerażająca błyskawica przeszyła powietrze. Zatrzęsła się ziemia. Jakby sto gromów zawrzało w swej potędze i ze straszliwym hukiem uderzyło w domostwo Hanki.

Rodzice spali najlepiej tej nocy, nie wiedząc, czy burza szaleje na świecie — tylko Hanka z lękiem siedziała na łóżku i z trwogi żegnała się, gdy światło błyskawicy spojrzało do izby.

Zerwała się na równe nogi. Pobiegła do drugiej stancji, budząc z krzykiem rodziców.

— Rany boskie! Rany boskie!

— Co jest! co jest! zerwali się w śmiertelnem przerażeniu ojciec z matką.

— Piorun uderzył, pewnie w nasz dom!

— Jezus, Marja! Ratunku!

Wybiegli z domu na pole.

— Pali się! Chryste Boże!

Potracili głowy.

— Ogień na dachu! wynosić pierzynę, ubrania, sprzęty! — krzyczał zdenerwowany ojciec.

— Pieniądze, gdzie leżą pieniądze!

— Jezus, Marja, prędko, prędko!

— Boże! Boże! krzyczała bezsilnie matka.

— O św. Florjanie ratuj!

— Ratunku!! Ratujcie ludzie! wołał w niebogłosy ojciec.

— Ratujcie! ludzie, ratujcie! krzyczała zrozpaczona Hanka, wynosząc ubranie na pole, z rozwianym włosem, w koszuli, boso, na wiatr i siekawicę deszczu. Zbiegli się sąsiedzi z konewkami! Wynosili sprzęty, garnki, buty, stoły, ubrania, ciskając to wszystko na pole w nieładzie. Inni nosili wodę lejąc na płonący dom, który wyglądał jak zapalona pochodnia. Dym tamował oddech, dusił, bronił wstępu do wnętrza domu. Hanka biegała zrozpaczona koło domu — nie wiedząc co ratować, matka zaś, bełkotała coś do siebie, jakby w obłędzie Ojciec pomagał ludziom przy gaszeniu pożaru. Wyprowadził krowy ze stajni i świnie z chlewa. Błyskawica co chwilę ślepiła oczy — czyniąc obraz pożaru niezwykle potężny i bolesny.

Wśród zgiełku usłyszano alarm pożarowy.

— Jedzie straż! krzyknął ktoś z ratujących.

— Niech jedzie, niech jedzie! wołała płacząca Hanka.

— O, Boże, Boże! nasz dom, nasz dom!, zawodził ojciec.

— Żeby też Wawrzek przyjechał — pomyślała Hanka.

Na niebie płonęła łuna i oświetlała całe miasto. Strugi deszczu błyszczały w ogniu czerwienią. Wiatr unosił w powietrze niedopałki z płonącego domu na dalszą część przedmieścia, przenosząc je na stodoły i domy sąsiadów.

Ukazała się Straż. Rozwinięto węże, nastrojono sikawki i w szybkim tempie zaczęto gasić pożar, który pożerał już pułap i ściany. Dym kłębami roznosił się i bronił wstępu do wnętrza. Nie mogli już nic obronić. Część urządzenia domu pozostała na pastwę ognia.

Wawrzek dowodził strażą donośnym głosem. Sam zrywał osęką dopalające się sprzęgła dachu, nie zważając na lecące resztki belek, od których mógłby się zapalić. Stał w obliczu żywiołu, który chciał zniszczyć. Wtem ukazała się przed jego oczami postać Hanki w koszuli, bosa, otulona w chustkę, jak biegła gdzieś za dom. Ujrzała go.

— Wawrzek!

— O Jezu, Jezu! wyła nieludzko matka — pieniądze, gdzie pieniądze! W domu zostały pieniądze, w skrzyni, pod skrzynią — o tam! pieniądze, Jezu, Jezu.

Pożar lokalizowano. Część domu ocalono, tylko wiatr roznieca ogień i walczył z wrogiem — wodą. Wawrzek, słysząc krzyk matki — wpadł w kłęby dymu, w palący się dom, i znikł z płomiennym chaosie. Nim mogli się zorjentować strażacy i ludzie — było zapóźno. Stało się to w oczach rodziców Hanki, którzy myśleli, że wbiegł po pieniądze. Nastąpiła chwila denerwująca. Wawrzek nie wychodził.

— Dybczak w ogniu! Ratujcie go! Wołali ludzie. Nikt nie pobiegł na ratunek. Jeden odważniejszy ze straży chciał wbiec w kłęby dymu, lecz cofnął się. Nastawili tylko silniej sikawki z wodą, a innych, którzy chcieli przedrzeć się do wnętrza, aby ratować Dybczaka — odpychał gryzący dym i parzyły płomienie.

Śmiertelne przerażenie ogarnęło wszystkich. Nikt nie miał odwagi wpaść do wnętrza.

— Ratujcie go, ratujcie! — wołali ludzie.

— O Jezu, gdzie on! biadali ludziska.

Hanka nie wiedziała, co się stało z Wawrzkiem. Spostrzegła jego nieobecność. Spytała rodziców — nie dali jej żadnej odpowiedzi. Przeczuwała coś strasznego. Burza ucichła. Deszcz przestał padać. Pożar ugaszono. Jeszcze gdzie niegdzie dymiły belki, na które lano wodą.

W międzyczasie wpadli strażacy do zgliszcz, szukając między niedopalonymi sprzętami Dybczaka. Znaleźli zwęglone zwłoki. Wyniesiono je na pole. Już dniało. Ukryli je za domem i nakryli słomą. Jednego człowieka stracili, który ich lubił — nienawidząc zarazem nieprzyjaciela — ognia. Smutni byli.

Na uboczu zbierała się grupa ludzi, coraz większa, głośno biadająca nad Wawrzkiem i nad nieszczęściem rodziców Hanki.

Pobiegła. Spojrzała na zwęglone ciało.

Poznała: to on!

Z piersi wydarł się straszny szloch, i padła zemdlona na ofiarę zawodu...

KONIEC.



Wezwanie.

Z okazji sprowadzenia zwłok Juljusza Słowackiego.

Uderzcie w dzwon — w serdeczny dzwon,
Pierś niech się ogniem rozrzarzy;
Z dalekich stron, zbliża się tron...
Do naszych polskich ołtarzy.

W przestworzach drży tajemny ból,
Łzami rozbłysły się szczyty —
Zielenią pól, płynie Duch-Król...
Płynie pod polskie błękity.

Uderzcie w dzwon — w królewski dzwon...
Nastrójcie lutnie pieśniarze —
Niech z złotych strun wypłynie ton...
Przed Króla-Ducha ołtarze.

Kachna Ł. Łza.



Poradnik gospodarczy.

Hodowanie warzyw sowicie się opłaca, nietylko tym, którzy mają ogrody warzywne w pobliżu miast, ale i tym, którzy mają je dalej, ale umiejętnie zabierają się do rzeczy.

Do roślin przynoszących duże zyski już z początkiem lata należą truskawki i poziomki, te ostatnie mogą owocować do późnej jesieni, o ile należytą otoczymy je opieką. Rośliny te dadzą się hodować tak blisko jak i daleko od miasta, zaś nabywców znajdą napewne, o ile tylko odpowiednio opakowane i nie zepsute umiemy dostarczyć do większych środowisk ludzkich.

Truskawki sadzimy na specjalnie na to przeznaczonych grzędach. Czas sadzenia lipiec i sierpień, choć można sadzić wczesną wiosną. Wymagają one bardzo starannego pielęgnowania, zwłaszcza posadzone w lecie w dni upalne, suche, wtedy wymagają obfitego i częstego podlewania, gdyż obfita wilgoć sprzyja bardzo na rozrost korzeni. Do sadzenia wybrać należy sadzonki świeżo wyrosłe na długich sznurach wypuszczonych z korzeni macierzystych. Sadzi się je na grzędach w linjach 40 cm. odległych i 30 cm. jedna roślina od drugiej. Po posadzeniu należy obficie je podlać, a najlepiej sadzić je po deszczu. Grzędy należy często plewić, zaś około roślinek ziemię dobrze spulchnić i roślinkę dobrze obsypać. Nigdy nie należy plewić w czasie posuchy, gdyż młoda roślinka nawet lekko poruszona może łatwo uschnąć. Ważną bardzo rzeczą jest gdy roślinka wypuszcza sznury, aby tych rękami nie odrywać, ale ucinać je, gdyż wtedy słabo zakorzenioną roślinkę łatwo możemy wyrwać i przez to narazić ją na uschnięcie. Na zimę nakrywamy grządki drobnym nawozem aby ziemię użyźnić, przyczem przykrywamy krzaczki, aby je uchronić i zabezpieczyć przed zmarznięciem. Nakrywamy pilnie zwłaszcza tak zwane serduszka, to jest najmłodsze listeczki wyrastające ze środka, gdyż te najczęściej wskutek zimna giną. Z wiosną przy okopywaniu, drobny nawóz zakopujemy około korzeni, aby te mogły pobrać przygotowany im w ten sposób pokarm, przyczem dobrze je obsypujemy pulchną ziemią. Dobrze działa przy nawożeniu truskawek krew zwierzęca, zwłaszcza pokropiona w jesieni, dana zamiast nawozu, wtedy nakrywamy grządki słomą lub liściem. Truskawki nie powinny zostawać na grzędzie dłużej niż trzy lata, gdyż starsze wyradzają się, coraz słabiej owocują i giną.

Truskawek mamy dużo odmian, i tu co do odmiany mamy wybór bardzo trudny. U nas najlepiej udaje się truskawka ananasowa, nazwana Król Albert Saski, zaś najdorodniejszą i najsmaczniejszą jest odmiana Laton's Noble. Przeglądając katalog znajdziemy dużo odmian z wyliczeniem specjalnych zalet, któremi się wyróżniają, jak kształtem, barwą, porą dojrzewania lub smakiem.

Truskawki lubią ziemię niezbyt lekką, słoneczną. Umiejętna uprawa sowicie się opłaca. Owocują od czerwca do pierwszej połowy lipca.

Owoce należy zbierać tylko w dnie suche, zwłaszcza owoce przeznaczone do wysyłki, gdyż zbierane w dniu deszczowym, lub wczas rano z rosą prędko się psują. Przy dojrzewaniu owoców ważnem jest, aby te nie leżały na ziemi, w tym celu należy pod owoc podkładać mech, słomę, aby uchronić najdorodniejszy owoc od powalania ziemią i gnicia.

Poziomki hoduje się zupełnie podobnie jak truskawki, tylko sadzi się gęściej w rzędach co 30 cm., zaś odległość między krzaczkami 25—30 cm. Najlepszą odmianą do uprawy jest ta, która kwitnie i owocuje obficie od wczesnej wiosny do późnej jesieni.

Poziomka stanowi ważny produkt zbytu dla ogrodnika. Na zbyt tego owocu nigdy skarżyć się nie można, gdyż zawsze większe jest zapotrzebowanie niż produkcja.

Należy tylko sznury, które puszczą starannie obcinać, dobrze i silnie nawozić, przykryć na zimę, aby zabezpieczyć przed mrozem, a plon obfity i pewny.

Jan Matysik.



Zachód.

Cudowny urok zachód ma
Gdy się rozmarzą szczyty...
Ten piękność widzi, kto ją zna,
Kto wpatrzy się w błękity.

Gdy wpatrzę się w niebieski dach
W zachodniej słońca porze,
To widzę potem w swoich snach,
Jak słońce niebo orze.

Na zachód słońce się skłoniło,
Blask krwawy rzuca z góry —
Lecz baśń wieczorną będzie śniło,
Bo kryje się za chmury.

O słońce! swój ostatni promień
Zabierasz już ku sobie —
Już gaśnie twój czerwony płomień,
W zagasłej nocy grobie.

Janina Wojciechowska.

KRONIKA.

Od Administracji. Do niniejszego numeru „Roli“ dołączamy czeki wszystkim Prenumeratorom półrocznym. Prosimy więc wszystkich tych Prenumeratorów o rychłe nadesłanie prenumeraty, aby uniknęli przerwy w dalszej przesyłce „Roli“.

O ileby który z Prenumeratorów całorocznych przez przypadek czek otrzymał, prosimy go zatrzymać, gdyż może się przydać na przesyłkę pieniędzy na kalendarz lub jaką książkę i t. p.

Konsekracja ks. biskupa Rosponda. W bazylice katedralnej na Wawelu odbyla się w niedzielę, 12 b.m., uroczystość konsekracji ks. biskupa Dra Stanisława Rosponda. Konsekrantem był ks. metropolita krakowski Adam Sapieha, współkonsekrantami ks. biskup tarnowski Wałęga i ks. prof. U. J. Godlewski, b. biskup-sufragan łucki. Ks. biskup Rospond jest synem małomieszczan z Liszek koło Krakowa.

Pijany szaleniec. W poniedziałek 13 b. m. po południu popełniony został we Lwowie przez pijanego szaleńca okropny zamach morderczy i samobójczy. Z okazji ruskich Zielonych Świąt upił się w południe w restauracji Antoniny Hahnowej przy ul. Kościuszki 1, portjer kawiarni „Louvre“, Stanisław Kluk, zamieszkały przy ul. św. Mikołaja 3. Wróciwszy do swego mieszkania, wypędził Kluk zeń żonę, poczem usiłował podpalić meble. Szaleniec dobył następnie z szuflady brzytwę i w oczach żony, patrzącej do wnętrza mieszkania przez szklane drzwi, poderżnął sobie gardło. Ociekając krwią poszedł następnie Kluk z powrotem do restauracji Hahnowej i tu przyskoczywszy znienacka do właścicielki restauracji, zadał jej brzytwą dwie głębokie rany w szyję i kark, krzycząc: „Głowa ci teraz spadnie“. Hahnowa, brocząc krwią, upadła na ziemię. Następnie szaleniec rzucił się na gości, którzy w popłochu uciekli na ulicę. Kluk wybiegł za nimi i stanąwszy pod murem, zaczął wymachiwać brzytwą. Posterunkowy zdołał wytrącić szaleńcowi brzytwę. Przybyłe pogotowie odwiozło Kluka i Hahnową w groźnym stanie do szpitala.

Straszny czyn szaleńca. Z Częstochowy donoszą: Do mieszkania inż. Feliksa Dawidowicza, zgłosił się jego elektromonter Edward Kołtuniak, po należne mu 70 zł. za roboty instalacyjne. Nie zastawszy go w domu zgłosił się on w kilka godzin później. Kiedy przyszedł o godz. 9 wieczór i upomniał się o należność, powstała sprzeczka między nim a żoną Dawidowicza, w czasie której Kołtuniak wyjął rewolwer i oddał dwa strzały w stronę Dawidowiczowej. Na odgłos strzałów wybiegł z sąsiedniego pokoju syn Dawidowicza 18-letni maturzysta Józef, do którego również Kołtuniak oddał dwa strzały. W tym momencie wypadła z kuchni służąca Anna Nowak. Szaleniec skierował i do niej rewolwer i wystrzelił. Kiedy postrzelona rodzina schroniła się do sąsiedniego pokoju i zabarykadowała drzwi, wtedy szaleniec skierował rewolwer do siebie i wystrzałem w skroń pozbawił się życia. Na krzyk rodziny zbiegli się sąsiedzi i dwaj lekarze, którzy opatrzyli rannych i odwieźli do szpitala. Zwłoki samobójcy zabezpieczono aż do nadejścia komisji. Wypadek ten wywarł wstrząsające wrażenie.

Miła niespodzianka. Miła niespodzianka spotkała służącą sekretarza sejmiku powiatowego w Krasnymstawie. Przed kilku dniami zupełnie przypadkowo dowiedziała się ona, że w roku 1926 padła na nią główna wygrana w ciągnieniu dolarówek, w sumie 40.000 dolarów, czyli około 356 tysięcy złotych.

Bestjalstwo. Do jakiego rozwydrzenia dochodzą czasem pod wpływem wódki instynkty ludzkie, świadczy fakt, jaki zdarzył się w ostatnią niedzielę we wsi Mielżyn w powiecie gnieźnieńskim. Do pijących w tamtejszej restsuracji trzech mężczyzn, przyłączyła się pewna zamężna kobieta, która wraz z nimi poczęła pić. W pewnej chwili mocno podchmieleni osobnicy rzucili się na kobietę, wywlekli z restauracji, oblali smołą i podpalili. Na krzyki i jęki ofiary bestjalskich opryszków nadbiegli okoliczni gospodarze, którzy uratowali ją od niechybnej śmierci. Wszystkich zbrodniarzy aresztowano.

Sześć osób pod kołami lokomotywy. Ze Śląska opolskiego donoszą: Na linji Borsigwerk-Mikulczyce najechał pociąg osobowy na przejeżdżający przez tor kolejowy wóz, w którym znajdował się inspektor górniczy Waniek z rodziną. Woźnica poniósł śmierć na miejscu. Waniek zmarł w czasie przewożenia go do szpitala w Zabrzu. Żona jego i dwie siostrzenice doznały ciężkich obrażeń. Jedynie córka wyszła cało, zdążyła bowiem na czas wyskoczyć.

Morderstwo z nakazu. Z Paryża donoszą: Arab Amar Haddadene. stanął onegdaj przed trybunałem sędziów przysięgłych w departamencie Sekwany, oskarżony o morderstwo. Dnia 14 lipca ubiegłego roku Amar Haddadene odwiedził swojego krewniaka, również Araba Abdesalama Rabala, w jego mieszkaniu. Rabal mieszkał wówczas w Alfostville, gdzie miał posadę w fabryce automobilów jako mechanik. Był on przekonany, że Amar Haddadene przybywa do niego w zamiarze, jak to już nieraz bywało, pożyczenia pieniędzy. Albowiem Amar Haddadene uchodził w arabskich kołach w Paryżu za genialnego naciągacza, który zawsze żył kosztem drugich. Toteż Rabal zdziwił się, gdy kuzyn tym razem nie mówił mu ani słowa o pożyczce, ale przeciwnie zaprosił krewniaka na swój koszt do Baru na Mortmartre. Zdumiony Abdelsalam Rabał przyjął zaproszenie i obaj pojechali dorożką automobilową na Mortmartre, gdzie w barze bawili się i p'li do rana. Wreszcie o świcie opuszczono lokal. W chwili gdy obaj Arabowie przechodzili przez ulicę de Choisy, Haddadene wyciągnął nagle brzytwę z kieszeni i rzucił się na swego towarzysza. Zadał on mu straszliwą ranę w szyję, poczem wywijając skrwawioną brzytwą w powietrzu krzyczał dziko: „Rozkaz Mahometa jest wykonany, mój wróg nie żyje“.

Rabal, rzężąc, upadł na ziemię zbroczony krwią. Przechodnie, spieszący ze wszystkich stron, zobaczyli mordercę przy ciepłych jeszcze zwłokach. W kilka godzin potem aresztowano mordercę. Przesłuchiwany oświadczył z nieprawdopodobnym cynizmem:

— Kupiłem brzytwę tylko w tym celu, aby Rabalowi przeciąć gardło.

Przed sądem przysięgłych zeznawał po arabsku, a słowa jego na język francuski przekładał tłumacz sądowy.

— Wykonałem tylko rozkaz Koranu — oświadczył. — Abdelselam przed kilku laty gościł w moim domu, gdy mieszkałem jeszcze w Arabji. Uwiódł on wówczas moją żonę, a Koran nakazuje takie przestępstwo karać śmiercią.

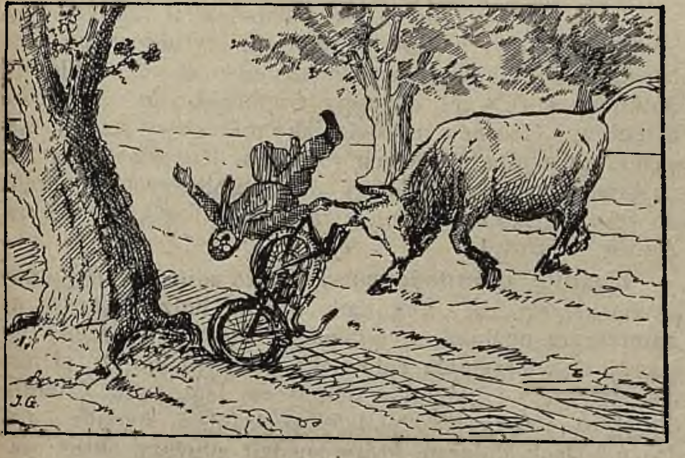
— A czy Koran nakazuje także — zapytał przewodniczący trybunału — wypić przedtem w barze na Montmartre moc alkoholu? Wszakże Koran nie zezwala na używanie napojów alkoholowych. Dlaczegóż pan nie uszanował tego nakazu Koranu?

Na to pytanie Haddadene nie dał żadnej odpowiedzi. Obrońca Araba, adwokat Veillier, zacytował słowa Koranu, na które się powołał oskarżony i przedłożył sądowi francuski przekład tej świętej księgi Islamu, aby

przekonać sędziów, że oskarżony mówi prawdę. Obronę jednakowoż zniweczył fakt złożenia świadectwa przez żonę oskarżonego Araba. Kobieta ta nadesłała mianowicie list, w którym oświadcza, że mąż jej kłamie, albowiem nie była nigdy uwiedzioną przez Rabala, ale wogóle go nie znała. Amar Haddadene został skazany na 20 lat więzienia.

Pięć strzałów do szczęśliwej rywalki. P. Abel Prevost, urzędnik bankowy w Paryżu miał do wyboru między 51-letnią Henryką Fontenelle i 19-letnią Jacqueliną Le Bois. Obie damy chciały zostać żonami miłego i dającego gwarancje szczęścia, młodzieńca. Obie były równie posażne i posiadające odpowiednie stosunki w świecie. Nie ulegałoby więc najmniejszej wątpliwości, że p. Abel wybierze młodszą. Tak przynajmniej postanowiłby każdy młody człowiek z epoki przedwojennej, gdy kobiety szybko się starzały i rezygnowały z podbojów. Lecz młodzieniec wybrał 51-letnią kobietę, była bowiem znacznie powabniejszą, milszą i posiadała więcej czaru niewieściego. Wybór ten spowodował tragedję. Młoda Jacqueline nie mogła przebaczyć rywalce jej powodzenia i zdecydowała się na czyn szalony. W chwili, gdy szczęśliwa para narzeczonych wsiadała do samolotu, aby odbyć przejażdżkę we dwoje, padło pięć strzałów. Dwie kule dosięgły Henriettę, raniąc ją w ramię i biodro. Zamach ten był dziełem młodej rywalki, która nie mogła przeboleć zawodu miłosnego, na jaki naraziła ją niestarzejąca się modna dama.

Motocyklista na rogach krowy. Pod Paryżem wydarzył się w bardzo dziwnych okolicznościach nieszczęśliwy wypadek, którego ofiarą padł pewien motocyklista.



Chcąc przejechać wśród stada krów, znalazł się nagle wraz z motocyklem na rogach krowy, która go następnie rzuciła o drzewo, gdzie natychmiast poniósł śmierć.

Ślub z przeszkodami. Ostatniej niedzieli zawarto w wielkiej synagodze w Budapeszcie 41 małżeństw. Wedle dawnego zwyczaju żydowskiego wychodzi z jednego pokoju narzeczona a z innego pan młody. Jedna para za drugą wstępowała przed ołtarz i rabin kojarzył jedno małżeństwo za drugiem. 20 par już szczęśliwie skojarzono i służący wyprowadził 21 narzeczoną. Pod baldachimem czekał na nią już zdenerwowany narzeczony. Natychmiast przystąpiono do ceremonjału ślubnego. Rabin wygłosił nadzwyczaj rzewne przemówienie i chciał właśnie przystąpić do właściwego aktu ślubnego. W tym momencie narzeczona, która dotychczas trzymała wstydliwie oczy spuszczone, podniosła wzrok na swego narzeczonego i... omal nie zemdlała, zobaczyła bowiem, że ten, który stał pod baldachimem, nie był jej narzeczonym. Okazało się, że służący pomylił się i wywołał nazwisko innej narzeczonej Natychmiast przerwano ceremoniał ślubny i wywołano prawdziwą narzeczoną. Pierwsza narzeczona nie chciała się jednak zgodzić na to, aby ślub jej doznał zwłoki. Musiano więc zawezwać również drugiego oblubieńca i równocześnie obie pary pobłogosławić.

Dzieciobójczyni. Przed sądem w Duisburgu w Niemczech stanęła onegdaj morderczyni dzieci, 19-letnia Katarzyna Hackdorn, oskarżona o dokonanie dwóch morderstw na dzieciach przy pomocy nożyczek. Oskarżona robi wrażenie dziecinne, szczupła twarz, krótkie włosy, wybucha ustawicznie płaczem. Zeznaje, że w ostatnich czasach czytała bardzo wiele gazet i interesowała się specjalnie kryminalnemi wypadkami, masowemi morderstwami Harmana, Denkiego i wrocławskiemi morderstwami dzieci. Chciała też zostać divą filmową i zamierzała z kinooperatorem uciec do Ameryki. Sam wypadek odbył się w następujący sposób: Dziewczyna poszła się kąpać do rzeki. Nad rzeką spotkała dwoje dzieci, bawiła się z niemi, poczem jedno z nich, 5-letnią Kasię wzięła na bok, uszła z nią kilkanaście kroków w krzaki i tam jej przemocą wepchnęła do ust grudy ziemi, poczem przecięła tętnice szyjne nożyczkami. Uczyniwszy to, udała się do drugiego dziecka, 5-letniego chłopczyka, bawiła się z nim jakiś czas, a potem zrobiła z nim to samo. Następnie spokojnie wykąpała się w potoku i wróciła do domu. Położyła się też zupełnie spokojnie spać. W domu matka odkryła, że na jej żakiecie znajduje się krew. Sama matka, gdy się wiadomość o mordzie obu dzieci rozeszła, poszła na policję i złożyła zeznania. Po wydaniu przez psychjatrów orzeczenia, uznającego dziewczynę za umysłowo upośledzoną, otrzymała 5 lat ciężkiego więzienia.

Śmierć w owocach. W tych dniach w Berlinie sfery lekarskie zostały do głębi poruszone epidemicznem szerzeniem się nieznanej dotychczas a straszliwej w skutkach choroby. Chorzy, do których wzywani byli lekarze, mieli na całem ciele szarozielone plamy, aż wreszcie po krótkim czasie ciało chorego zieleniało zupełnie i każdy z nich umierał w okropnych męczarniach. Początkowo doktorzy nie zorjentowali się zupełnie, skąd choroba pochodzi, i jak się nazywa, nie umieli postawić djagnozy, przy każdym z poszczególnych chorych zwoływali konsylja i bezradni rozchodzili się, nie umiejąc rozwikłać tej ponurej zagadki, a straszna choroba szerzyła się tymczasem coraz bardziej, gdyż, jak się okazało, była ona zaraźliwą. Domy, w których zdarzały się wypadki choroby, poddawane były ścisłej kontroli i czuwali nad nimi lekarze, broniąc zetknięcia się ludzi chorych ze zdrowymi. Tymczasem zgoła nieoczekiwanie odkrył pochodzenie tej choroby pewien młody i niezwykle zdolny student medycyny uniwersytetu berlińskiego, mianowicie zwrócił on uwagę na fakt, że choroba grasuje przeważnie w domach ludzi zamożnych. Zwrócono przeto uwagę, przedewszystkiem na produkty spożywane przez domowników i oto skonstatowano, że w domach tych spożywane są owoce, sprowadzane z zagranicy, a przeważnie z Australji, jakoto: banany i jabłka. Poddano szczegółowemu badaniu te owoce i stwierdzono w nich właśnie zarazki tej choroby. W Berlinie z tego powodu wśród ludności powstał wielki popłoch. Sklepy z owocami bankrutują, ponieważ ludność obawia się kupowania sobie strasznej śmierci w pięknych i smacznych owocach.

Żywa pochodnia. Z Magdeburga donoszą, że inkasent Georgi z Lipska, popełnił tam straszliwe samobójstwo na ulicy. Oblawszy mianowicie dwoma flaszkami swą odzież zapalił ją. W okropnych męczarniach

biegał niby żywa pochodnia, przeraźliwie krzycząc przez ulicę, przyczem zrywał sobie odzież z ciała. Pewna kobieta, która z okna swego mieszkania widziała ten straszny obraz, dostała ataku nerwowego. Wreszcie przybyła straż pożarna. Nieszczęsny znalazł się już na moście i upadł tam prawie nagi, cały okryty straszliwemi oparzeliznami. W stanie beznadziejnym przewieziono go do szpitala, gdzie wkrótce zmarł.

Samobójczynie tureckie. Na odczycie, wygłoszonym niedawno w uniwersytecie stambulskim, zwrócono uwagę, że ilość zamachów na życie wśród ludności tureckiej zwiększa się w sposób zastraszający. W roku ubiegłym statystyka samobójstw wykazała sześciokrotne wzmożenie się wypadków w porównaniu z ubiegłemi laty, przyczem znamienna jest wysoce ta okoliczność, że wśród ofiar przeważają kobiety. Zjawisko to przypisuje część opinji tureckiej gwałtownemu zniesieniu wielożeństwa w Turcji, co znacznie utrudniło położenie społeczne i materjalne kobiety tamtejszej, najzupełniej nieprzygotowanej do tak radykalnej reformy.

Przeprosiny ubiczowanego. Cesarstwo indyjskie, należące do Anglji, składa się — jak wiadomo — z całego szeregu państewek, któremi zarządzają książęta indyjscy, podlegli Anglji. Książęta ci mają nieograniczoną władzę w postępowaniu z poddanymi Indjanami. Z władzy tej korzystają oni w sposób bardzo wymowny. Za małe przekroczenie skazują poddanego na ubiczowanie. Skazaniec klęka i czeka na karę, którą mu wymierza sługa księcia. Ilość uderzeń zależy od stopnia przewinienia. Skazaniec zwyczajnie znosi ból bez szemrania, nawet wówczas, gdy krew z ciała ubiczowanego płynie. Jeśli książe jest „łaskaw“ dla skazanego, to po wymierzeniu kary dają mu „dla osłodzenia“ owoce bananów, które są pokarmem ulubionym dla każdego Hindusa, choć Europejczykom wydają się mdłemi.



I może się wydać dziwnem do pojęcia a jednak tak jest, że ubiczowany Indjanin przyjmuje owe banany i zapomina o bólu. Jest to skutek wiary biednych Indjan, że takie jest ich przeznaczenie, żeby być bitymi do krwi, gdy się tak spodoba księciu. Rycina nasza przedstawia ową straszną egzekucję, podczas której skazany klęczy, a za nim stoi sługa księcia z biczem, a drugi z bananami, aby mu je wręczyć po odbytej karze, nibyto na przeproszenie.

Podróż naokoło świata w ciągu 8-u minut. „United Press“ zorganizowało niedawno kongres dziennikarzy w Columbji (stan Missouri) z udziałem delegatów. Podczas bankietu dokonano bardzo ciekawego doświadczenia, mającego na celu przekonać obecnych o niesłychanej szybkości, z jaką obecnie depesza może odbyć podróż naokoło świata. Wysłany został telegram z Columbji do Nowego Jorku, skąd nadano go bezzwłocznie przez Londyn, Moskwę, Szanghaj do San-Francisco i tejże samej Columbji. Depesza obleciała kulę ziemską w ciągu 8 minut!

Kąpiel przy asyście wojska. Urząd zdrowia w Meksyku wysłał w ubiegłym miesiącu przymusowo pod eskortą policji 134 tysiące obywateli, przeważnie Indjan do kąpieli. Ten sam urząd również przy pomocy policji, zmusił 15 tysięcy osób do ostrzyżenia zbyt długich włosów. Ponieważ w większości wypadków interwencja policji nie pomagała, wzywano do asysty wojsko.

Nowy szczep karłów. W Nowej Gwinei odkryto nowy szczep karłów. Najwyższe osobniki nie dochodzą wzrostu 145 cm. Misjonarze, którzy to przybyli, informując o swoim odkryciu, zaznaczają w raportach, że nie mogą ustalić koloru skóry nowoodkrytego szczepu, gdyż są oni pokryci grubą warstwą brudu, z pod której nie prześwituje ani skrawek skóry. Wnętrza domów są tak samo brudne jak i ich mieszkańcy. W przeciwieństwie do tego znajdują się ich ogrody uprawiane z wielką starannością i utrzymywane w niezwykłem porządku. Liczebność tego szczepu nie jest wielka, nie przekracza 500 głów, natomiast wszystko wskazuje, że są to degeneraci, znajdujący się na wymarciu. Zmarłych chowają w swoich własnych domach, przyczem na znak żałoby noszą po zmarłym szczękę, umocowaną na sznurku, którą zawieszają sobie na szyji. Najciekawszą rzeczą, jaką zaobserwowali misjonarze, jest brak jakiejkolwiek religji wśród nowoodkrytego plemienia.

Król przemytników. Miasto Cincinnati w Stanach Zjednoczonych pozyskało nowego obywatela, który, ku dumie i zadowoleniu mieszkańców, zainstalował się niedawno w bardzo wspaniałym pałacu. Jest to p. George H. Remus, najwybitniejszy w Ameryce, a przeto i w całym świecie, kontrabandzista, zajmujący się potajemną sprzedażą alkoholu. Należy on do kategorji — dosyć zresztą licznej — amerykańskich sław swojego rodzaju, w krótkim bowiem przeciągu czasu, z którego, nawiasem mówiąc, znaczną część spędził w 9 różnych więzieniach, zdobył p. Remus, król przemytników, pokaźną fortunę, obliczaną przez fachowców na 25 miljonów dolarów. Dziś, syt chwały, więzienia, no i dolarów, osiadł w rodzinnem mieście jako miljonowy rentjer, cieszący się sympatją swoich rodaków. Kto wie — czy nie postawi swojej kandydatury przy najbliższych wyborach do senatu. Szanse zwycięstwa posiada wielkie — 25 miljonów dolarów!

Sztuka u ludożerców. Często zdumiewają piękne dzieła artystyczne, wykonane rękami ludzi, żyjących na najniższym poziomie cywilizacji. Niektórzy uczeni tłumaczą to wierzeniem człowieka pierwotnego, że sztuka jest wyrazem i głównym ośrodkiem jego bytu. Charakterystyczne przykłady podaje australijski badacz i podróżnik Jack Malaren, który spędził dłuższy okres czasu wśród ludożerców w Australji i na wyspie Nowej Gwinei. „Ci dzicy są czasami zupełnie opanowani przez swą pracę, tak, że zapominają o wszystkiem, co ich otacza, a nawet o sobie samych. Pewien ludożerca, nie widząc, że go śledzę, zbudował dla siebie łódź do rybołóstwa. Następnie zaczął zdobić przeróżnemi rysunkami i malowidłami, masą perłową, świecidełkami i t. p. Zachwycony swoją łodzią, zbudował specjalny domek, w którym ją przechowywał i strzegł, niby największego skarbu świata. Inny dzikus pokrył mury swojej chaty obrazami, oczywiście malowanemi przez niego samego. W braku płótna malował na tarczach wojennych wielkości człowieka. Farby dostarczyła mu ziemia, mająca na nowej Gwinei specjalne własności. Przeważnie były to niezdarne „portrety“, ale na niektórych z nich malował również sceny z życia ludożerców. Artysta poświęca cały swój czas malowaniu a plemię jego szczyci się nim, dostarcza mu pożywienia i ze skupieniem przygląda się jego pracy“.

RZECZY CIEKAWE.

Krwawy deszcz.

Niedawno w wielu miejscowościach środkowej i południowej Francji spadł deszcz, barwy czerwonej. W dzisiejszych czasach zjawisko to nie komentuje się już na sposób średniowieczny, kiedy „deszcz krwawy“ uważano za zwiastuna najróżniejszych klęsk i katastrof. W kronikach wieków ubiegłych znajdujemy częste wzmianki o osobliwych rodzajach deszczów. Jest tam mowa nietylko o deszczach „krwawych“, ale i o opadach poprostu niesamowitych... Za czasów dalekich przodków naszych „z nieba spadały żaby, ryby, szczury, myszy, żmije, zboże, miód, manna, siarka, mleko i t. p.

Badania ujawniły, iż deszcze takie zawdzięczają czerwone zabarwienie ziemnym lub mineralnym substancjom, pochodzącym z piasków pustyni Sahary, skąd orkany roznoszą je we wszystkich kierunkach. Na wybrzeżach Afryki zachodniej, pomiędzy wyspami Kanaryjskimi i przylądkiem Verde, z okrętów dostrzega się często tumany czerwonego pyłu, wzniecanego przez wiatry, szalejące zwłaszcza w pierwszych czterech miesiącach każdego roku. Podobne zjawiska obserwowano w okresie od sierpnia 1883 r. do lutego 1884 r. prawie na całej kuli ziemskiej. Fenomeny te były spowodwane strasznym wybuchem wulkanu Krakatan, znajdującego się pomiędzy Jawą i Sumatrą. Wybuch ten, którego ofiarą padły dziesiątki tysięcy istnień ludzkich, wyrzucał słupy ognia, lawy i ziemi do wysokości trzydziestu tysięcy metrów, wywołując różne osobliwe objawy, jak: różnokolorowe opady, niewidziane dotąd zabarwienie słońca i krwawe łuny na niebie. Jeżeli deszcz pada równocześnie z burzą piaskową, wówczas następuje zabarwienie deszczu na różne kolory. W ten sposób powstają deszcze: krwawy, mleczny, siarkowy i t. d. Można nawet wierzyć zapiskom kronikarskim, wspominającym o „padających“ (na wzór deszczu) rybach i innych stworzeniach, które to zjawisko daje się w ten sposób wytłómaczyć, że cyklony i trąby powietrzne, dzięki swej właściwości ssącej, wciągają z wód płytkich do pewnej wysokości ryby, które później opadają na ziemię, tworząc ów zagadkowy „rybi deszcz“. W podobny naturalny sposób powstają i inne „cudowne“ deszcze, o których wspominają dawne kroniki. A zatem znów jeden zawód więcej dla ludzi ciemnych i przesądnych.

Jak się tresuje słonie.

Do belgijskiego Kongo przybyło z Ugondy w Indjach 5 znakomitych pedagogów, którym powierzono funkcję tresowania słoni. Słonie afrykańskie żyją bowiem w dzikim stanie, chociaż z wielkiem pożytkiem użyte być mogą, jako zwierzęta pociągowe. Uczelnia w Kongo posiada na razie 50 wychowanków, a w otatnich dniach otrzymała 8 nowych pupilów schwytanych w lesie, po zastrzeleniu ich matek. Małe słoniątko jest dzikie uparte i złośliwe, trzeba je więc nauczyć dobrych obyczajów. Następnym etapem wychowania jest objeżdżanie słonia, potem dopiero uczy się zwierz wykonywać ludzkie nakazy, nosić ciężary, podnosić trąbą przedmioty, przyklękać itd. Po pięciu latach pilnych studjów staje się pożytecznym zwierzęciem domowem i kierować niem może nawet dziecko. Zamykają więc młodziaka razem z starym i łaskawym słoniem. Najtrudniejszą sprawą jest oswoić młodego słonia z widokiem ludzi. Doświadczeni pedagogowie mają jednak na to sposób. Krępują wychowanka sznurami tak, iż z trudnością może się poruszać i przez dwa tygodnie z rzędu zjawiają się rano i wieczorem uzbrojeni w rózgi. Na widok ludzi mały słoń poczyna się niepokoić, wydaje dzikie głosy, pragnie się wyzwolić z pęt. Wtedy sieką go pedagogowie rózgami. Operacja ta trwa 10 do 15 minut. Obity słoń czuje swą bezradność, a na pocieszenie otrzymuje kosz łakoci. Po dwu tygodniach rozumie już, co znaczy człowiek.

Ostatni Samarytanie.

Z licznego niegdyś plemienia Samarytan, cytowanych przez Pismo Święte jako wzór miłosierdzia, pozostało zaledwie 200 głów. Siedzibą ich jest palestyńskie miasteczko Rablus, gdzie mieszka 152 Samarytan, a 48 przebywa w innych miejscowościach. Przed kilku miesiącami założono w Rablus szkołę hebrajską. Wypadek ten przebudził ze śpiączki resztki wymierającego narodu. Szkołę hebrajską z obowiązującą nauką religji żydowskiej uznali za prowokację i otworzyli swą własną uczelnię. Ogromną radość wywołał wśród Samarytan fakt, iż w szkole ich pobiera nauki aż 65 uczniów. Fakt ten uważa wymierające plemię jako zapowiedź odrodzenia.

Kiedy kobieta starzeje się.

Jeden z tygodników francuskich ogłosił ankietę na temat: Kiedy kobieta starzeje się?

Nadesłano zgórą 2000 odpowiedzi, a w dyskusji wzięły udział damy od 20 roku życia do siedmdziesiątki. Z odpowiedzi tych wynika, że współczesne kobiety nigdy się nie starzeją, albowiem 70 letnie staruszki jeszcze nie rezygnują z uciech życia. Jest to niewątpliwy trjumf wiedzy lekarskiej, hygjeny i warunków, w jakich żyje ludzkość.

Jakby na potwierdzenie ogłoszono w Austrji statystykę małżeństw i rozwodów. Z cyfr tych wynika, że 50 letnie kobiety ulegają jeszcze strzałom amora i wcale nie wyrzekają się miłości. W ubiegłym roku rozwiodło się na obszarze małej Austrji 569 kobiet liczących około 50 lat życia i 53 damy dobiegające sześćdziesiątki. Po trzydziestu kilku latach małżeństwa przyszły do przekonania, że nie kochają mężów i muszą pójść za głosem serca. Z 658 kobiet pięćdziesięcioletnich i sześćdziesięcioletnich 428 wstąpiło w powtórne związki małżeńskie.

Cyfra ta świadczy najlepiej o niestarzejących się sercach współczesnych kobiet.

Dobroczynne łzy.

Łzy są zjawiskiem prawdziwie dobroczynnem dla człowieka tak pod względem fizjologicznym, jak i moralnym. Odkryto bowiem, że zawierają one pewną substancję, która piorunująco działa na wszelkie mikroby. Jedna tylko łza, wlana do probówki, zawierającej miljony mikrobów, zabija je w jednem mgnieniu oka.

Rzeczą najbardziej zastanawiającą jest, że ta substancja, zwana lizozjum, wcale nie traci swej mocy, można też takie doświadczenia z mikrobami powtarzać ciągle i ciągle i łza będzie dla nich zabójczą. Doświadczenie to ludzkość zawdzięcza dr. Flemingowi z Londynu. Utrzymuje on, iż ślady lizozjum znajdują się w całym organiźmie ludzkim, co właśnie jest wyjaśnieniem, dlaczego to ciało nasze tak skutecznie nieraz walczy z najniebezpieczniejszemi zarazkami.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Jan Pajdak z Wieliczki 60 gr., Pierściecki z Jasienicy dla Myrdalonki na cukierki 60 gr., Wł. Przybyłowicz z Szarleja dla Maćka 1·50 zł., dla Kąśki 1 zł.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Wszystkim Kochanym Czytelnikom, którzy na dzień 13 czerwca przesłali mi życzenia imieninowe, składam na tem miejscu najserdeczniejsze podziękowanie za pamięć.

Antoni St. Bassara.

Pp.: **K. Lesiowska** w W.: Nadesłane utwory zamieścimy wkrótce. — **Albatros:** Wierszyki bardzo dobre, będziemy się starali, aby nie leżały zbyt długo w tece. Dzięki. — **Gabrjel Wirstnik** w Szcz.:Zaszła rzeczywiście pomyłka, zapóźno teraz ją prostować. — **E. Cygan** w B.: Zdarzenie z przed kilku lat dziś nie jest aktualne. — **Maryśka z Kamionki:** Za przesłane utwory dziękujemy. Pójdą. — **Władysław Bienias** w J.: Nadesłany utwór w numerze dzisiejszym. — **Wincenty Kuglin:** Treść ballady p. t.: „Kara" jest interesująca, ale forma jeszcze słaba. — **Władek z pod lasu** w P.: „Przestroga na drogę życia" zupełnie dobra. W miarę miejsca zamieścimy. — **Alfons Malenda** w S.: Matki pszczelne w cenie 3 zł. 50 groszy są do nabycia w każdej ilości za nadesłaniem z góry należytości pod adresem: Andrzej Misiewicz, Liszki ad Kraków. — **Franciszek Dal** w D. (Śl. Cz.): Prośbę przesłaliśmy z prośbą o skierowanie do właściwego źródła. — **Ignacy Kasper** z U.: Zażalenie nadesłane nam przesłaliśmy do p. ministra spraw wewnętrznych z prośbą o zwrócenie uwagi na te straszne stosunki pocztowo-gminne w naszym kraju i kładliśmy nacisk na to, aby chociaż książka i gazeta wolne były od jakichkolwiek opłat na rzecz posłańców gminnych, gdyż opłaty takie właśnie tylko potęgują ciemnotę ludu po gminach. Tam, gdzie naczelnik gminny jest choć trochę światlejszy, tam opłat żadnych się nie pobiera. Cześć! — **Jan Ogorzałek** w Cieniawie: Reklamacji nie opłaconej poczmistrz nie przyjął, ponieważ miał zanotowane, że numera do gminy wydał. I Pańską reklamację odesłaliśmy do ministerstwa spraw wewnętrznych, które za pośrednictwem starostwa zajmie się urzędem gminnym. Za posłańca gminnego odpowiada wójt, a gdy zapłaci karę, to dopilnuje posłańca, względnie uczciwego sobie dobierze, o ile w tym wypadku sam nie jest winien. Prosimy o cierpliwość.

Okładki na „Rolę" są gotowe i wszystkim, którzy nadeślą 2 zł. zaraz wyślemy. Okładki są bardzo ładne, z wybitym rokiem złoconym 1926/**1927** jak również ze złoconymi ornamentacjami.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 21 czerwca b. r.

Pszenica .	54·00—55·00	Słoma długa	5·50—6·00
Żyto . .	51·00—53·00	Ziemniaki stoł.	00·00—00·00
Owies . .	43·00—44·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	00·00—00·00	sienn. czer.	00·00—00·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryfy.

(Ułożył Jan Kosakowski).

I.

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Nazwa dnia.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Wykład snów.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Miasto w Hiszpanji.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Ptak.

Litery wstawione zamiast kwadracików dadzą stolicę europejską.

II.

■ ☆ ■ ☆ ☆ Zwierzę domowe.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Część ciała zwierząt.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Drzewo wspak.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Rodzaj wapna.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Wóz.

Litery wstawione zamiast krzyżyków dadzą miasto i państwo w starym świecie.

2. Szarady.

(Ułożył Jan Piwowoński).

I.

Pierwsze i trzecie imię dziewczynki,
Pierwsza i druga to są przyimki.
Gdy trzecia z pierwszą do nas przyjdzie
Chętnie się w drugie trzecie idzie.
Całość łatwo znajdziecie,
Rośnie, gdzie drugie trzecie.

II.

(Ułożył W. Ciepiela z B.).

Pierwsza i druga złych ludzi wiano,
Trzecia i czwarta pijaka miano,
Szlachta się nasza w całość stroiła,
Dopokąd Polska w wolności była.

III.

(Ułożył W. Ciepiela z B.).

Pierwszy i drugi miastem stołecznem
Narodu, który wrogiem nam wiecznem
Ostatni jego na tronie władca,
Rzezi narodów główny sprawca.
Gdy druga, trzecia groziła szyji,
Umknął nieborak do Holandji.
Do Gdańska całość, ładowna drzewem
Płynie po Wiśle z flisaków śpiewem.

3. Przestawianki.

(Ułożył Wł. Reichel z H.).

I.

Niańka ma sioła i rafke.

II.

Nasz rak łazi! połam B.

III.

Sza! dzieci potną.

Z powyższych zdań ułożyć znane przysłowia.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 3 lipca.

Znaczenie zagadek z Nru 24 „Roli": 1. Logogryf: Marja Konopnicka. — Nie rzucim ziemi. 2. Szarady: Stolica, szarada, serenada. 3. Kwadrat magiczny: Rola, ozon, lord, Andy. 4. Przestawianka: Kto we żniwa szuka chłodu, nacierpi się w zimie głodu.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Rozalja Świecicka z D., Jan Fyda z S., Ludwik Paliga z K., Józef Kaizer z W. G., Józef Topolski z B., Ignacy Jaśko z K., Stanisław Nowak z K., Władysław Bienias z J., Tomasz Dymanus z K., Włodzimierz Szewczuk z J., E. Cygan z B., Kazimierz Gac z S., Władysław Maniewski z D., Stefan Dziadkowiec z K., Jan Szilder z Ł., Józef Gąsior z S., Leon Procner z S., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Jan Lose z M. K., Franciszek Klimeczko z W., Piotr Wenc z S., Rudolf Kulla z K. M., Władysław Biedroń z R., Feliks Popielarczyk z W. D., Alfons Czader z S. W., Władysław Gleń z M., Tomasz Wójcik z T. M., Gabrjel Wirstnik z Sz., Alojzy Cieślar z J., Florjan Ciebiera z Rz., St. Kosowski z P., Jan Gorgula z B.

Nagrody wylosowali pp.: Rudolf Kulla z K. M. i Władysław Biedroń z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Natrętny trębacz.

Pewnemu jegomościowi dokuczył do żywego stróż nocny, który jak na złość zawsze przed jego domem trąbił, przez co zamącał mu stale sen.

Myśli zatem ów jegomość w jaki sposób mógłby temu zapobiedz? Gdy go zbesztam będzie jeszcze gorzej, lecz wpada na pomysł...

Zobaczywszy danego stróża, powiada mu: Wiecie co, wy bardzo pięknie trąbicie, czem mi sprawiacie wielką przyjemność do tego stopnia, że poczuwam się do obowiązku was wynagrodzić, zatem za każdym razem, gdy obok mego okna przechodzić będziecie, będę stawiał dla was kieliszek z gorzałką.

Jak obiecał tak uczynił, stróż nocny przechodzi, znajduje za oknem spory kielich gorzały, wypije i oczywiście w podziękowanie trąbi, że omało bębenki nie puchną, tak było przez 4 dni z rzędu.

Natomiast na piąty dzień jegomość nie wystawił już dowodu wdzięczności, co zadziwiło nieco stróża, gdy po żmudnych poszukiwaniach nie znalazł zapłaty swych płucnych wysiłków, lecz przypuszczając zapomnienie lub omyłkę, trąbił tym razem normalnie.

Natomiast, gdy 6 dnia również nagrody nie znalazł, odeszła mu chętka trąbienia, zatem tylko słabiutko zadmuchał, lecz gdy wreszcie i 7 dnia nic nie znalazł, odszedł ze złością mrucząc, że wyzyskiwać się nie da i swego pięknego trąbienia nie będzie ofiarował darmo.

Od tego też czasu jegomość ów miał na zawsze święty spokój z trąbieniem, a udało mu się go osiągnąć li tylko filozoficznym iście fortelem.



Sen.

— Nic mnie tak nie może zdenerwować — mówi Cyps do przyjaciela, jak przykry sen. Wyobraź sobie, że leżę w łóżku i nagle... nie leżę w łóżku. Leżę w dzikim lesie pomiędzy Afryką i Australją, rozumiesz? Przybiega żebra i napada mnie! Przyjemność, co? Uciekam. Biegnę. Padam. Ubranie mam na strzępy podarte wtem przylatuje moja żona i zaczyna mnie bić parasolem!"

— No, dzięki Bogu, że to był tylko sen — pociesza Cypsa przyjaciel.

— Zawracanie głowy! Podczas sceny z parasolem dawno już nie spałem!" („Lust. Bl.")

Bandyci w zachwycie.

— Przypatrzno się, Antek, jaka to piękna miejscowość. Naokoło pola, łąki i lasy... ani jednego policjanta.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli" wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I. i II-go kwartału po 2 zł 60 gr.

W Administracji „Roli" są do nabycia niektóre numera „Roli" z roku 1912, 1913 nie tworzące całości rocznika, które się wysyła po nadesłaniu 15 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać w liście znaczkami pocztowymi.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli" poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę" zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli" posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Kalendarze już wyczerpane!

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja“: Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Rozszerzajcie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.

OKŁADKI NA „ROLĘ“ twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli“. Wysyłka następować będzie partjami po 25 sztuk.

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.